



Dobrego Nowego Roku
2018

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXIII Nr 1(257) Zielów, styczeń 2018

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Zbigniewa Gordzieja, Izabeli Iwańczuk, Véry Kopeckiej, Janusza Orlikowskiego, Elizy Segiet, Jerzego Stasiewicza, Krystyny Woźniak

Andrzej Dębkowski – *Krótkie résumé*

Leszek Żuliński – *Poezja empatyczna*

Józef Baran – *Spadając, patrzeć*

w gwiazdy

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia*

codziennosci

prof. Ignacy S. Fiut – *Chichiku, czyli haiku*

po polsku

Stefan Jurkowski – *Hurt i detal*

Andrzej Bartyński – *Nasze serca – cd.*

Kazimierz Ivosse – *Pół żartem, pół serio*

Joanna Friedrich – *Imaginarium pani*

z solarium. Życie na świeczniku. Fakty

wyobraźni

Anna Dominiak – *Piszę wiersz o pustyni*

Dariusz Pawlicki – *O listach w liście*

Christian Medard Manteuffel – *W światłocieniach Syriusza*

František Všetická – *Konopnicka i Vrchlický*

Jerzy Lengauer – *Magiczna Bretania*

Eliza Saroma-Stępniewska – *„W dźwięku trwam”*

prof. Zofia Chyra-Rolicz – *On i One czyli niezapomniana Kalina*

Irena Kaczmarczyk – *„Dzidzius” Antolskiego*

Tadeusz Zawadowski – *Dysonane Marty Pawlickiej-Włóki*

Jerzy Stasiewicz – *XVIII Dni Poezji Broumov*

Rafał Sulikowski – *Miłość mieszka w ciszy*

Eugeniusz Kurzawa – *Święto literatury lubuskiej*

Kronika

Wydarzenia

Opinie, Noty, Poglądy

W światłocieniach Syriusza



Cisza, jak makiem zasiał. Scena narodzin Syna Bożego ustrojona była w narożnej części rynku. Blżej nawet od strzelistego minaretu niż od kopuły świątyni grekokatolickiej, wystawiono naturalnej wielkości figury postaci i zwierząt otaczających żłobek. Nie było to żadne święte miejsce wśród nędznych chat i ubóstwa otoczenia, choć mogło ono przypominać do złudzenia tamto, nie bardzo podłe miasto, gdzie dla brzemiennej Marii zabrakło miejsca w gospodzie. Radość i nadzieja emanowała z tej sceny, tym bardziej, że w sąsiedztwie znajdowała się kwatery jednostki pokojowej United Nations – **pisze Christian Medard Manteuffel na stronie 8.**

Magiczna Bretania

Nie ma się chyba czego wstydzic. Takich wyrazów tajemniczych, wypowiedzianych mało wyraźnie, unikanych jest dość sporo. Banałem jest przyznanie się do tego, że jest się mało odczytanym. Receptą jest, oczywiście, jak najczęstsze sięganie do słowników. Tak często, żeby zapamiętać na zawsze pisownię i rzeczownika, i przymiotnika, jak w przypadku Bretanii. Humor nieco poprawił mi Christian Querré w przypisie na stronie czterdziestej piątej niewielkiej książeczki pod tytułem Magiczna Bretania – **pisze Jerzy Lengauer na stronie 11.**



O listach w liście

Moje zainteresowanie autentyczną korespondencją, daje o sobie znać, zwłaszcza wtedy, gdy na grzbiecie książki (najlepiej grubej) widzę choćby jedno znane mi nazwisko związane ze światem literatury. Jeżeli do tego, który nosi owo nazwisko czuję sympatię, jest to kolejnym, i to bardzo istotnym, powodem, aby publikację nabyć bądź pożyczyć. Mam jednak na myśli nie tylko prozaików czy poetów, ale także wydawców, redaktorów, tłumaczy. Listownymi zapiskami polityków, kompozytorów, w ogóle muzyków, tak jak i naukowców/uczonych nie jestem zainteresowany; przynajmniej jak dotąd. – **pisze Dariusz Pawlicki na stronie 3.**

Imprezy

XVIII Dni Poezji Broumov

Wjeżdżając na ziemię czeską, z daleka dostrzeżliśmy ogromną bryłę benedyktyńskiego klasztoru z wysokimi wieżami zwieńczonymi krzyżem i rozłożyste, pokryte blachą spadziste dachy.

W ogromnej łukowej sali malowanej na złoto wita nas organizatorka festiwalu Pani Věra Kopečká (poetka, translator, wydawca, autorka 25 tomów wierszy, dziesiątek antologii, tłumaczona i wydawana na polski, ukraiński, rosyjski, bułgarski i wietnamski, matematyk po Uniwersytecie Karola w Pradze, teatrologii i prezentacji poezji tejeż uczelni). Wręczając na powitanie almanach festiwalowy *Našlapování v podzimmím listí*, wydany w sześciu językach i folder z programem.

W sali gościnnej przy ciężkich dębowych stołach poeci raczą się kanapkami i kawą rozpustną (że Czeszki są rozpustne to wiedziałem, ale kawa?). Czułe powitania, rozmowy, wymiana publikacji, prezentacja zdjęć na smartfonach z własnych spotkań autorskich.

Punktualnie o 17:00, co w Czechach nie jest takie oczywiste, w sali wizytowej rozpoczyna się prezentacja gości. Wprowadzenie Věry, słowo wstępne władz Broumowskiego Kraju, kwiaty, brawa.



Fot. František Tylšar

Poeci czytają wiersze z almanachu, w którym pomieszczono siedemdziesięciu autorów. Pięknie rozbrzmiewają głosy w klasztornej sali, gdzie czuć ducha zakonników i lekki powiew sukni opata biegnącego może do słodowni, sprawdzić czy braciszki nie przesadzają z degustacją złocistego płynu. Pomny, że kiedyś spalili browar.

Słowacka piosenka barwiona melodią gitary dodaje nastroju, podskórnie czuje się jej melodyjność. Czytają Leszek Brągiel, Adriana Jarosz, Witold Hreczaniuk, Zbigniew Niedźwiedzki Rawicz, Wojciech Ossoliński. Moja kolej – prezentuję *Rocznicę*. Jako jeden z niewielu mam przekład na czeski, tu wyręcza mnie... Jaroslav Schnerch. Po mnie Jarmila Synková i Jasio Szczurek. Věra prowadzi żelazną ręką, nie ma bezproduktywnego gadania. Dźwięcznie brzmi bułgarski w ustach Dimany Ivanovej poetki z Varny, następnie prezentuje własny utwór w języku gospodarzy.

Krynice witają gości gorącą kolacją. Jesteśmy zakwaterowani w dawnej szkole, obecnie schronisko młodzieżowe. Kilka pokoi czteroosobowych. Nam z opolskiego przypada „kombinat” (20-osobowy). Jest i „kombinat” kobiety. W grupie łatwiej się integrować.

Wieczorne warsztaty polegają na wypisaniu własnego imienia, nazwiska i miejscowości. Z

ich liter należało ułożyć dziesięć rzeczowników. Następnie ułożyć wiersz. Ot taka zabawa słowem, te rzeczowniki wymieniamy z sąsiadem. Mnie przypadły po czesku i... dzięki Bogu warsztaty się zakończyły.

Stały punkt towarzyski to wizyta w gospodzie *U schladka*. Prowadził ją kiedyś stary szynkarz Jozef, siedzący z poetami do białego rana, zasłuchany w ich rozmowy. Potakujący głową. Odszedł na emeryturę – gospoda podupadła. A nas powitała brakiem piwa. W Czechach zabrakło piwa. Kto da wiarę?

Sobotnie przedpołudnie typowo warsztatowe. Dr Dimana Ivanová z prelekcją na temat przekładu wierszy. Daje przykłady z tłumaczeń bułgarskiego wieszca na czeski. Pokazuje, gdzie popełniano błędy. I stwierdza, że nie oddają ducha poety. Prawdziwy translator powinien być poetą, dobrze znającym oba języki i w dodatku wyczuć liryczne. Joasia Słodyczka dodaje „przekłady są jak kobiety – piękne albo wierne”.

Miosroszów po polskiej stronie – druga część festiwalu – wernisaz malarstwa poplenerowego. I monodram poświęcony tutejszemu poecie Zdzisławowi Żurkowi w piętnastą rocznicę śmierci. Zabarwiony filmem dokumentalnym nakręconym pod koniec życia poety, które nie było łatwe. Wyobcowany w społeczeństwie, wcześniej owdowiały, żyjący na granicy dwóch światów.

Prezentacja wierszy (stoły ustawione w podkowie) przy uroczystej kolacji, do której zasiadła także publiczność. Miała podniosły charakter. A znakomity bigos przeniósł nas do gościny staropolskiego dworu. Są miejsca, gdzie poetę traktuje się z należytym szacunkiem, a z słów jego czerpie się energię na dni powszednie.

Jerzy Stasiewicz



„W dźwięku trwam”

słowa / padają /
deszczem i gradem (...)

Tak, to fragment wiersza. Napisałam go kilka lat temu, przytłoczona nagłym uzmysłowieniem sobie faktu, że ludzie nie są wstanie wypowiedzieć wszystkiego, co mają w głowach. Czy bardziej wzniośle: w sercach. Po prostu gdzieś w sobie. Poeta też człowiek, też nie potrafi. Zbyt mało jest na świecie słów, zbyt wiele znaczeń. Ale zadaniem poety jest próbować. Ciągle i od nowa. Inaczej poeta nie byłby poetą.

18 września w Mokotowskim Centrum Integracji Mieszkańców usłyszeliśmy słowa. Słowa poetki. 55-lecie, a właściwie całokształt pracy twórczej, obchodziła pani **Lidia Kosk**.

Pani Lidia – kobieta-instytucja, jak to się kiedyś mówiło (a może i teraz jeszcze tak się mówi?). Nie tylko pisze (kilkanaście wydanych dotąd tomików wierszy i prozy, liczne publikacje w kraju i za granicą), ale też fotografuje, prowadzi warsztaty literackie dla dzieci i seniorów, stoi na czele stworzonego przez siebie Amatorskiego Teatru Poetyckiego... Pamiętają Państwo spektakl „Niknące prawa człowieka”? To właśnie jedna z autorskich sztuk tego Teatru.

Zawsze mnie zastanawiało, jak pani Lidia znajduje na to wszystko czas, skąd czerpie owe nieprzebrane zapasy energii. Jedyna odpowiedź, która przychodzi mi do głowy, brzmi: z samej twórczości. Twórczość to chyba jakiś rodzaj perpetuum mobile: dodaje autorowi tyle samo energii, ile mu jej odbiera akt kreacji. Może nawet więcej...



Lidia Kosk

Dom kultury przy Woronicza 44, mały żółty budynek z czerwonym dachem – kurczaczek, jak zwykła go nazywać bohaterka wieczoru. Druga połowa września. Pani Lidia energiczna jak zawsze, jak zawsze uśmiechnięta. Sama niejednokrotnie zdradzała w wywiadach drugie źródło tej promiennej witalności: jest nim natura. Drzewa – najczęstszy temat jej subtelnych, nastrojowych zdjęć. Przestrzeń. Wiatr. Szum wiatru jest jak muzyka – mówi pani Lidia. – Jest jak jazz...

Płynie muzyka. Autorka czyta wiersze, odpowiada na pytania Danuty E. Kosk-Kosickiej, swojej córki i tłumaczki jej wierszy na angielski, która z gracją prowadzi wieczór. Druga córka, Grażyna Kosk-Wiśniewska, śpiewa teksty mamy, akompaniując sobie na gitarze. Sama ułożyła te nuty. Nie, nie ułożyła – ona je tylko odegrała, bo muzyka jest wpisana w słowa jak wiatr w korony drzew.

Muzyka i wiatr... orkiestra i chór. Tak, teraz to naprawdę jazz. Amerykański kompozytor Philip Olsen, uwiedziony czarem tej poezji, stworzył „Polski Tryptyk” – muzyczną ilustrację do trzech wierszy pani Lidii (w przekładzie Danuty E. Kosk-Kosickiej): „Z okna mojego mieszkania”, „Powinności”, „Zegar tyka”. Słuchamy. W tle przesuwają się obrazy – zainspirowany dziełem Olsena film Ryana Sevela. Głos pani Lidii w przerwach między fragmentami tryptyku, czytając treść utworów, wydaje się być integralną częścią widowiska. Głos to też muzyka. Jest nią samo brzmienie słów.

Uczestniczki warsztatów literackich prowadzonych przez panią Lidię dziękują jej za pomoc przy powstawaniu ich twórczości i wydaniu tomików z których teraz czytają zebranych swoje wiersze i opowiadania.

Kulminacja: wiersz Lidii Kosk „Szklana góra” w dziewięciu różnych językach. Polski, angielski, czeski, węgierski, serbski, niemiecki, rosyjski, japoński... Brzmienie słów. Rytm. Melodia.

Można próbować rozumieć poprzez słowa. Można próbować rozumieć poprzez dźwięki. Wsłuchajmy się w nie. Jak w muzykę. Jak w poezję. Jak w to, co niewystawione.

Jest koniec listopada. Wciąż się wsłuchuję: (...)
przeleciał wiatr / porwał czas / rozsypał zdarzenia / na nuty // w dźwięku trwam (...)

Lidia Kosk, „Słuchając jazzu”

Eliza Saroma-Stępniewska

Dariusz Pawlicki

O listach w liście

Znad jeziora Pogorzelec,
25 sierpnia 20... r.

Szanowny Panie,
na nadjeziornych trzcinach pojawiły się nieznaczne żółte przebarwienia. Zauważyłem to wczoraj. Zaczyna więc robić się naprawdę jesienią. Świadczą o tym także coraz niższe temperatury np. dzisiejszego ranka, około 7.00 były ledwie 4 stopnie. A do początku jesieni kalendarzowej pozostało jeszcze trochę czasu.

Po tym pogodowym wstępie zaznaczę, nie zaskoczy to jednak Pana, że bardzo lubię czytać listy (pośród nich, te które otrzymuję od Pana, zajmują miejsce wyjątkowe). Składając tę deklarację chciałbym jednak podkreślić moje szczególne zainteresowanie ukazującymi się drukiem zbiorami listów (czy nasze dostąpią tego zaszczytu? Jeśli chodzi o mnie, to chyba nie miałbym nic przeciw temu). Na szczęście raz po raz wydawcy publikują tomy listów tych czy innych osób. Dzięki temu na półkach bibliotecznych, księgarskich czy antykwarycznych znajdują zbiory epistoł, które z różnych powodów uważam za warte poświęcenia im mego czasu. Zdaję sobie oczywiście sprawę z tego, że w takich wypadkach zaznajamiam się z czyjąś prywatną korespondencją. Choć wydaje mi się, że fakt, iż autorzy tych listów, jak i ich adresaci, najczęściej przebywają już w innym świecie (czy piszą tam listy, choćby te elektroniczne?), osłabia znacznie wrażenie wścibstwa. Zresztą jeżeli znajdują się w tym samym świecie, co czytelnicy, muszą wyrazić zgodę na opublikowanie swoich listów. Jeśli zaś nie, w „zastępstwie” czynią to ich spadkobiercy.

Odnosnie uwagi na temat mojego upodobania do listów, chciałbym jednak zaznaczyć, że nie mam na myśli tekstów literackich, które w rzeczywistości nie są listami, jedynie przybierają ich formę – naśladują je. I które od początku były pisane z myślą o ich upublicznieniu, w takiej właśnie formie (postaci). Przykładem takich zabiegów są *Listy starego diabła do młodego Clive'a S. Lewisa*.

Moje zainteresowanie autentyczną korespondencją, daje o sobie znać, zwłaszcza wtedy, gdy na grzbiecie książki (najlepiej grubej) widzę choćby jedno znane mi nazwisko związane ze światem literatury. Jeżeli do tego, który nosi owo nazwisko czuję sympatię, jest to kolejnym, i to bardzo istotnym, powodem, aby publikację nabyć bądź pożytyć. Mam jednak na myśli nie tylko prozaików czy poetów, ale także wydawców, redaktorów, tłumaczy. Listownymi zapiskami polityków, kompozytorów, w ogóle muzyków, tak jak i naukowców/uczonych nie jestem zainteresowany; przynajmniej jak dotąd.

Właśnie w tym miejscu mojej epistoły

poczułem potrzebę wyjaśnienia powodu tego, że piszę do Pana, choć jeszcze nie otrzymałem odpowiedzi na poprzednią. Tym bardziej, że wysłałem ją ledwie trzy dni temu. Otóż od kilku godzin jestem szczęśliwym posiadaczem tomu okazałych rozmiarów zatytułowanego *Wspólna obecność. Korespondencja Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego z Anną i Jerzym Turowiczami*. Jeśli zapytałby mnie Pan, co spowodowało ten zakup, to odpowiedziałbym – obecność na grzbiecie i okładce nazwiska: Jerzy Turowicz. Bardzo go bowiem cenię (czy można cenić ludzi nie żyjących? Bo podziwiać ich dokonania, z całą pewnością tak). A to przede wszystkim za to, że w okresie trudnym dla człowieka mającego poglądy zdecydowanie sprzeczne z obowiązującymi, dominującymi i uważanymi za właściwe, pozostał przy własnych, „nieprawomyślnych”, ponosząc tego konsekwencje. Napisałbym o Turowiczu więcej (także odnosząc się do krytycznych uwag pod jego adresem, jakich nie brakuje w *Dziennikach* Stefana Kisielewskiego), ale to może innym razem, gdyż ten list chciałbym jednak poświęcić mojej słabości do tomów zawierających korespondencję.

Po przeczytaniu pierwszych szesnastu listów składających się na *Wspólną obecność*, lekturę przerwałem. Nie, nie, nie dlatego, iż mnie znudziły, czy że pojawiła się konieczność wykonania jakiejś pilnej pracy. Przerwałem, aby... za szybko nie przeczytać całości. Dawkując sobie tę lekturę, sprawię bowiem, że związana z nią przyjemność będzie rozłożona w czasie. Tym bardziej, że uczucie zadowolenia wynikające z czytania trwa przecież dłużej niż ono samo. Zaczyna bowiem dawać znać o sobie jeszcze przed rozpoczęciem lektury, jak też trwa czas jakiś, po jej zakończeniu.



Fot. Dariusz Pawlicki

Jestem prawie pewny, że na ugruntowanie mojego zainteresowania opublikowanymi korespondencjami, najistotniejszy wpływ miało zaznajomienie się z wydawanymi przez Czytelnika, w ramach serii „Archiwum Kultury”, kolejnymi tomami obejmującymi listy, jakie Jerzy Giedroyc wymieniał z poszczególnymi osobami współtworzącymi

krąg „Kultury” zwanej paryską (dlaczego „paryską” skoro miesięcznik był wydawany w Maisons-Laffitte?). Wydaje mi się, że owe pozycje są Panu nieznane, choć o twórczości kilku osób z tego grona, wyrażał się Pan pozytywnie bądź bardzo pozytywnie. Przykładem może być Jerzy Stempowski.

Najprawdopodobniej pierwszą publikacją z tej serii, z jaką zapoznałem się, a i zakupiłem, była dwutomowa edycja listów (obejmuje tylko połowę zbioru), jakie redaktor „Kultury” i Juliusz Mieroszewski wymienili ze sobą. Niedługo potem mój księgozbiór wzbogacił się o zbiory zawierające korespondencję J. Giedroycia z Witoldem Gombrowiczem, przedstawicielami emigracji ukraińskiej, Czesławem Miłoszem. Ale pośród zbiorów epistoł jakie posiadam (mam je zgromadzone w jednym miejscu – zajmują ¾ półki) są również niepisane przez Redaktora, ani do niego, ale wymieniane pomiędzy innymi osobami z grona osób z nim współpracujących. Przykładem jest korespondencja Cz. Miłosza ze Zbigniewem Herbertem, listy pisane przez Konstantego A. Jeleńskiego do Józefa Czapskiego. Posiadam także publikację zawierającą korespondencję nie mającą żadnego związku z Giedroyciem. Przykładem tego mogą być trzy tomy listów Thomasa Mertona pisanych do różnych osób (jeden z nich zawiera także epistoły adresowane do niego), te jakie wymieniali ze sobą Wincenty Burek i Jarosław Iwaszkiewicz, jak też ten drugi z Teresą Jeleńską i K. A. Jeleńskim.

Co mnie pociąga w owych listach? Ich autentyczność. Nie powstawały bowiem z myślą o, choćby, ewentualnej publikacji (podobnym zainteresowaniem darzę dzienniki, pamiętniki. W ich jednak przypadku często, w związku z braniem pod uwagę druku, dawała o sobie znać autocenzura). Jeśli ich autorzy grali, to jedynie przed swoim interlokutorem listowym, a nie przed rzeszami przyszłych czytelników (ich istnienia, jak wspominałem, nie brali bowiem pod uwagę). Szczególnie jest to widoczne, jeśli weźmie się pod uwagę korespondencję prowadzoną przez redaktora „Kultury” (niewątpliwie był uzdolnionym i niezwykle płodnym epistolografem) z liczną rzeszą osób. Mają one przede wszystkim charakter, że tak go nazwę, roboczy. Dotyczą bowiem spraw związanych z publikacją tekstów na łamach miesięcznika „Kultura”, jak też książek przez Instytut Wydawniczy. Nie brakuje jednak także problematyki bytowej, choćby dotyczącej honorariów, stypendiów, jak też kwestii związanych ze zdrowiem, sprawami rodzinnymi. Sporo jest w nich komentarzy na temat sytuacji politycznej w Polsce i na świecie. I dlatego są doskonałym świadectwem losów Polaków, ale nie tylko ich, po 1945 r.

(Dokończenie na stronie 4)

O listach w liście

(Dokończenie ze strony 3)

Czytanie cudzych listów miłosnych absolutnie mnie nie interesuje. Choćby z tego względu, że w jednym z pudeł przechowuję listy, jakie pisałem do mojej przyszłej żony, i jakie od niej otrzymywałem. A to mi wystarczy!

Listy, bez względu na to, ile byłoby w nich informacji, w tym wiedzy praktycznej, są przede wszystkim zapisem uczuć (niejednokrotnie nie dostrzegalnych na pierwszy rzut oka), niekiedy emocji. To one są, szeroko rozumianą, materią, z której powstają listy. Choćby wówczas, gdy zawierają prośbę o udzielenie pożyczki. Jak też wtedy, gdy sprowadzają się, tylko i wyłącznie, do zwrócenia uwagi na fakt, że termin zwrotu pożyczonej kwoty zbliża się (nieubłaganie) bądź, co gorsza, minął!

Mimo przytoczonego powyżej przykładu zawartości listów, owa materia budująca pisemną wypowiedź skierowaną do drugiego człowieka (także do instytucji, ale na tej uwadze poprzestane), najczęściej jest pozytywna. Najpewniej dlatego, że danie wyrazu uczuciom zdecydowanie negatywnym, zaowocowałyby przerwaniem korespondencji bądź jej ograniczeniem. Natomiast kontynuuje się ją, gdy przynajmniej jednemu z korespondentów, przynosi ona satysfakcję, a drugiemu, choćby, jej namiastkę.

William H. Shannon i Christine M. Bochen we *Wstępie* do *Thomasa Mertona. Życia w listach* napisali, że „listy to spotkanie dwojga osób. Ich celem jest dialog i wzywają do odpowiedzi”. Można tylko zgodzić się z tym poglądem, wyrażonym przy tym tak lapidarnie.

Epistolografia, według mnie, jest najbardziej humanistyczną dziedziną twórczości literackiej, a może w ogóle twórczości. Dotyka bowiem całokształtu ludzkiego jestestwa, każdego przejawu działalności człowieka. Łączenie listów z literaturą jest może nadużyciem. Ale tylko do pewnego stopnia. Bo czyż list nie jest jednak traktowany jako, wręcz gatunek literacki (to, że chodzi w tym przypadku o listy pisane z zamiarem ich publikacji, nie zamyka sprawy - list jest listem. Teoretycznie każdy zbiór listów, także e-listów, może zyskać postać książkową). I czyż nie jest tak, że epistolograf uznawany jest jednak za twórcę? Z tym, że nie chodzi o pierwsze znaczenie hasła „epistolograf”, jakie podaje *Słownik wyrazów obcych* PWN: „autor utworów literackich w formie listów”, lecz o drugie. A brzmi ono tak: „osoba znająca się

na sztuce pisania listów”. Jestem pewny, że i Pan uważa, że pisanie listów bywa! sztuką. Bywa, gdy jest przykładem klarownego, a przy tym pięknego zapisu myśli. A gdy jeszcze te myśli nie są zdawkowe, ale mają postać (także) ciekawych przemyśleń, wówczas można mówić prawie o ideale (prawie, gdyż ideał, to chyba Coś nieosiągalnego).



Fot. State Library of Victoria (CC BY-NC 2.0)

Epistolografia jest także, jak mi się wydaje, najbardziej egalitarną ze sztuk. Zaś list, przez analogię, najegalitarniejszym gatunkiem literackim. Pisać może go bowiem każdy, i mnóstwo ludzi je pisało (obecnie jest inaczej, stąd oczywiście czas przeszły). Wyjątkiem mogłaby być osoba niepiśmienna. Ale i to nie wykluczało jej z grona autorów listów. Dyktowanie przez analfabetę listu osobie piśmiennej, jeszcze niedawno było w naszej części Świata, nie tak rzadkim zjawiskiem.

Słońce już bardzo nisko wisi nad trzema lipami (właściwie dolna jego część jest zanurzone w koronach). Tymi, które przykuwały Pańską uwagę, gdy mnie Pan odwiedził (liczę na kolejne, i nie kilkugodzinne, odwiedziny). Jeśli o nie chodzi, to wspomnę, że zieloność ich listowia, przynajmniej na niektórych gałęziach, została już znacznie zakłócona. Ale w tej północnej krainie, jak najbardziej normalne jest, że jesień zaczyna się wcześniej. Wcześniej niż Tam, gdzie Pan mieszka.

Gdy zakończę ten list, a na to właśnie się zanoszę, odejdę od podokiennego biurka i usiądę w głębi pokoju, w moim ulubionym fotelu. A to po to, aby przeczytać kolejny, jednak nie zażyty obszerny, fragment *Wspólnej obecności*.

*Życzę Panu Dużo Dobrego!
Mieszkaniec Domu nad jeziorem Pogorzelec*

PS.

Dla wyjaśnienia wspomnę, że zdjęcie (preferuję fotografię czarno-białą) jakie dołączyłem do listu, przedstawia fragment jeziora, nad którym mieszkam. Nie miał Pan okazji przyjrzeć się jego północnemu brzegowi – zabrakło czasu.

Dariusz Pawlicki

Jerzy Stasiewicz

Bojąc się codzienności uciekam w teatr

Dni bywają posępne...
Boję się deszczu, szarości, monotonii.
Uciekam...
Uciekam w głąb siebie,
zasklepiając w kokon niebytu.
Cisza jest krzykiem, hukiem,
cierniem jęczącym ranę.

Nie wierzę słońcu?!
Nie przebieram się w sobowtóra.
Twarz wyraża obce gesty –
to maska starego mężczyzny –
na pewno nie stąd!
Spojrzenie pozostało wojenne –
pewnie był w plutonie egzekucyjnym
albo więźniem Oświęcimia.
I przeżył.

Nie znam tego człowieka
z moją twarzą...
– obcą na co dzień.

Eliza Segiet

Derka

Wczoraj byłem w Łodzi u przyjaciół
– dzisiaj wiem,
że tylko we śnie można ich spotkać.
Śniłem o fabrykach,
– dzisiaj wiem,
że tam szyją niemieckie mundury.

Wczoraj jechałem dorozką
– dzisiaj wiem,
że muszę być silniejszy
od konia, który ją ciągnął.

Wczoraj spałem
w wykrochmalonej pościeli
– dzisiaj
moja prycza jest przykryta derką.

Wczoraj to była mara,
– dzisiaj
już tylko wiara, że
w ludziach
pozostanie coś z Człowieka.



Mniej Więcej (155)



Poezja empatyczna

To drugi tomik *poetki Krystyny Woźniak*. Pierwszy ukazał się dawno – w 2005 roku. Poetka jednak nie próżnowała; była widoczna i energetyczna. Tu, w Warszawie, znaleźliśmy ją dobrze. Kilka lat temu nam „zniknęła”, bowiem wyjechała do Gorzowa Wielkopolskiego i tam zaczęła z powodzeniem asystować Czesławowi Gąndzie, który jako *spiritus movens* ożywił od lat życie literackie regionu, a chyba jego największym dziełem było 35 (jak do tej pory) edycji interdyscyplinarnych spotkań artystycznych w Gorzowie i Garbiczu.

Leszek Żuliński

Byłem na tych imprezach kilka razy; w tej ostatniej edycji udział brali oczywiście poeci, ale i malarze, muzycy, fotograficy – innymi słowy nasz zlot miał charakter interdyscyplinarny. Właśnie tu dostałem od Krystyny Woźniak jej nowy tomik, ale była też w Garbiczu jego promocja, czyli spotkanie autorskie. Rzadkiej klasy, bowiem skrupulatnie przygotowane i wykonane. Między innymi Krysi towarzyszyła Marzena Szumlańska-Śron (mało u nas znana, bo mieszkająca w Niemczech), której śpiewanie było osobnym wydarzeniem całego naszego tam pobytu. Marzena jest po prostu wyjątkowa!

Ale dobierzmy się teraz do tego tomiku. W całości jest on poświęcony dzieciom – tym z biednych rodzin, tym opuszczonym, osieroconym, tym samotnym, tym nieszczęśliwym (którzy ze swojego nieszczęścia nie zdają sobie najczęściej sprawy).

Oto wiersz pt. *Sklep z zabawkami*: *Dnia pierwszego w roku przybyłaś na świat, / na obraz i i podobieństwo ojca swego. / Matka nie chciała ciebie dotknąć, wyrzekła się zanim dniało. // Odrzucone lalki / czekają w magazynach na wyprzedaz. / Najpierw idą bobaski, później te z lokami / uśmiechnięte i bez wad fabrycznych. / Te, co pozostaną, ogrzewają się światłem. / Wierzą, że ktoś po nie przyjdzie / i już nie trzeba będzie wymyślać zabawy w*

rodzinę.

Tak mniej więcej brzmią te wiersze, choć – rzecz jasna – nie o „brzmienie” chodzi, tylko o los porzuconych dzieci. Uświadomiłem sobie, czytając te wiersze, jak mało wiemy o życiu i sytuacji dzieci porzuconych, dzieci bez rodziny, dzieci niechcianych. Nigdy nie byłem w Domu Dziecka i chyba niemal wszyscy nie za bardzo o tym w ogóle myślimy – ten świat dyskretnie gdzieś sobie jest za naszymi plecami.

Gdyby potraktować te wiersze jako reportaż, to włos jeży się na głowie i nagle fala empatii nas zalewa. Tylko czy wiersze mogą zmienić stan rzeczy? Tomik w końcu zamknijemy i wrócimy do własnych problemów. Wierzę jednak, że po tej lekturze nie będzie to już takie proste.

Z tego punktu widzenia interwencyjność tego typu wierszy jest niedoskonała, ale jednak zostawia ślad po sobie. Po lekturze zostaną ślady bolesnego losu dzieci pozabawionych – z jakichkolwiek przyczyn – rodziny. Woźniak nie napisała „bajeczek” – ona napisała dramaty. Tak „interwencyjnej” poezji nie czytałem od lat. Reporterzy robili to w gazetach inaczej; poezja – choć w tym przypadku realistyczna – ma chyba jednak szczególną moc oddziaływania. Ech, gdyby tak można było ten tomik rozrzucić po całej Polsce...

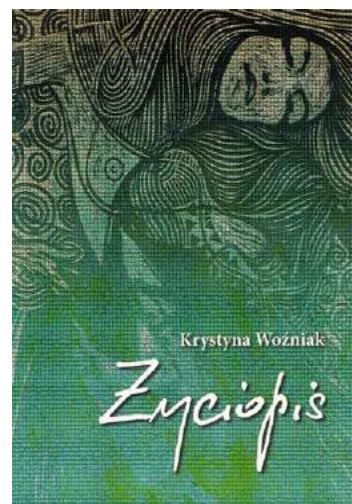
Jeszcze jeden wiersz pt. *List dziewięciolatki*: *Piszę do ciebie z domu dziecka, / nie lubię tu mnie, / bo jestem nowa, a ja ich się boję. / Mają tu psa – Pepsi, taki jak nasz, / tylko nie ma oka, dzielę się z nim jedzeniem, / przytulamy się, jest nam cieplej. // Dzisiaj chłopak z niemojej grupy nasypał mi soli do herbaty. // W niedzielę jedziemy do ZOO, ale ja nie chcę. // Mamo, przyjedź po mnie, / ja już będę dobra / i polubię wujka. Otóż prostota tych „scenek” jest w tym tomiku absolutnym cymesem. Realistycznym. Nie wydumanym, nie „wyreżyserowanym”. I jeszcze ten „pies bez oka” – nieszczęście na nieszczęście, jednak bez lamentacji. Behavior losu dziecięcego, a nawet psiego, komponuje ten świat, dziejący się za naszymi plecami. Uświadamia nam dramat, którego niby nie ma, a jednak budzi się w naszej – wspomnianej – empatii. Bo coś w tym wszystkim jest nienormalnego, w sumie niewygodnego dla nas, ale jednak JEST.*

I to zostało głośno tu powiedziane ściszoneg głosem.

W krótkim postłowie do tomiku Marek Wawrzkiwicz napisał: *...łatwo popaść w sentymentalizm. Wszystko więc zależy od poetyckiej dojrzałości. To ona właśnie kreśli nieprzekraczalną granicę między sentymentalnym oleodrukiem a wierszem – z jego wzruszeniem, nastrojem, jego wewnętrzną prawdą. Z jego – choć to nie jest określenie rodem z krytyki – uczciwością. Czymś, co do nas przemawia w taki sposób, że bez wahania stwierdzamy: tak, to jest wiersz.*

No cóż... Krystyna Woźniak odsoniła nam świat „bidula” – temat trudny i obchodzony łukiem. Dlatego swoista „pragmatyczność” tych wierszy, stojąca niemal na granicy dziennikarskiej ingerencji i zaglądnąca do „piwnicznej izby” przypominała nam, że liryka nie musi koniecznie łowić swe cudeń-

ka w „uniesieniach duszy”. Liryka potrafi interweniować. Ten tomik nam to przypominał.



Krystyna Woźniak, *Życiopis*. Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury, Gorzów Wlkp. 2017, s. 72.

Krystyna Woźniak

List dziewięciolatki

Piszę do ciebie z domu dziecka,
nie lubię tu mnie,
bo jestem nowa, a ja ich się boję.
Mają tu psa – Pepsi, taki jak nasz,
tylko nie ma oka, dzielę się z nim jedzeniem,
przytulamy się, jest nam cieplej.

Dzisiaj chłopak z nie mojej grupy nasypał mi
soli do herbaty.

W niedzielę jedziemy do ZOO, ale ja nie chcę.

Mamo, przyjedź po mnie,
ja już będę dobra
i polubię wujka.

Kurz na dłoniach

Ubierał ją w czerwony szal.
Nie krzyczała, kiedy ją dotykał,
obok spała mama
Mówił: *jesteś moją jedyną kobietą*.
Gdy już ją miał
pachnącą jeszcze mlekiem, strach jak kurz
opadał na podłogę. Malała, by ukryć
nienawiść.

Nie zasypia,
prosi Boga,
by wybaczył jej te zabawy
z tatą.

Zbigniew Gordziej

krzyki i przemilczenia

*żyjącej wśród nas
a jednak obok*

1

nie udało się Bogu
po pierwszym twoim krzyku
położnik zapisać:
ichtioza –
rybia łuska

dziecko ze zrogowaciałą skórą
kazał położyć na oddziale patologii

matce powiedział:
ma pani córkę
łśniącą kwadratami łusek

Stwórca tupnął grzmotem

wulkan splunął lawą

2

w trzecim tygodniu twojego życia
ojciec oczekiwał
przed oszklonymi drzwiami
szpitalnego oddziału

z budynku wyszedł z becikiem

czterdzieści minut później
w samochodzie kolegi
spojrzał w twoje zaczerwienione oczy
powiedział do żony:
ładna jest
do kierowcy:
jedź szybciej
świnie czekają na żarcie

wylały rzeki
ścichły ptaki

3

nie wystarczała oliwka Bambino
suchość skóry
nadmiernie ubogiej w pot
łagodziły jedynie
natłuszczające mikstury

ceną były plamy
na poduszce
kołderce
prześcieradła

i większe wydatki
na proszek do prania

biedny ojciec
mniej położył na tacę

chmury spadły gradem

załkało echo

4

we wrześnieowy poranek
matki prowadzą do szkół
siedmioletnie dzieci

nauczają się
zbiorowo odpowiadać
dzień dobry pani
pojmą zasady ortografii
porachują
lepiej lub gorzej
oswoją się ze stresami

tobie przypisano drogę
obciążoną garbami
codziennych egzaminów
z samotności

matka umieściła ciebie
w domu pomocy społecznej

powietrzna trąba rozdarła przestworza

5

kłopotu z tobą
nie było wiele
wystarczyło
trzy razy dziennie
wetrzeć maść w ciało
przybliżać przy posiłkach
wyprowadzić na spacer
przed zaśnięciem
przez chwilę potrzymać za rękę
i tyle

tak było do czasu
kiedy zaprzyjaźniłaś się
z łazienkowym lustrem
które bez ograniczeń
pozwalало lustrować
zaczerwienione oczy
łuszczący naskórek we włosach
spękane uszy
obficie pokryte łuskami

chciałaś szybko znaleźć kryjówkę
wiedziona instynktem szczura
wybrałaś metalowy śmietnik
między jego ścianą
a drucianym płotem
nie było lustra
ani opiekunów

odkryli sekretne miejsce

lawina kamieni
spłynęła w serce

6

zawierzyłaś muzykoterapeucie
zajęcia z nim były
najważniejsze
wciskał w dłoń tamburyn
albo grzechotkę
sam zasiadał przy pianinie

biały sufit
i błękitne ściany

patrzyły jak
terapeutycznie koncertujecie

któregoś dnia
pijany muzykoterapeuta
alkoholowymi wymiocinami
przerwał idylliczne godziny

nuty zastygły bazaltową skałą

7

matka nie przyjechała
na pierwszą
Komunię Świętą
została w domu
z twoją młodszą siostrą

ktos musiał
na ciało noworodka
nałożyć natłuszczającą maść
i przypilnować
żeby z głowy
nie zdzierła czapki

rozumiesz
ważność i niezbędność
tych czynności

wiesz jak doskwiera
ichtioza

w kościele ojciec usiadł
w siódmym rzędzie
stamtąd patrzył
jak kapłan
podaje hostię
po uroczystości czekał
przed świątynią

w rękę
zamiast kwiatu
trzymał zniszczony kapelusz

podeszłaś do niego
z wiankiem nałożonym
na rude włosy

zylastą dłonią
uchwylił twoją rękę
powiedział:
tylko ja mogłem przyjechać
i rękawem ubrania
przetarł kilkakrotnie oczy

meteoryt wyruszył w stronę Ziemi

8

to nie ja byłem Ewą
zaśpiewałaś gościnnie
na szkolnym festynie

byłaś atrakcją
jednego popołudnia

samouspokojeniem ludzkich sumień

sukces był
na wyciągnięcie dłoni

aż do ostatniego refrenu

kiedy ktoś z słuchających
krzyknął:
jaka z niej Ewa!

rozgorzała twarz

pękło przeszło mostu

9

od pewnego czasu wszyscy mówili:
pora zdobyć zawód

chciałaś być kucharką

nie pozwolili

powiedzieli że ręce
pokryte łuską
są przeciwwskazaniem
do takiej profesji
że zawiodły geny

Stwórca tupnął grzmotem

był z siebie niezadowolony

Věra Kopecká

Drzewa wzdłuż torów

Drzewa uciekają
wzdłuż torów
Jakby od nas
a może od nich
wbrew czasowi
Ale widać marnie
biegniemy biegną
w czasie umykającym
Kierunek jest przeciwny
I tożsamy zarazem

Utyskujemy

Utyskujemy
na upływający czas
który nas boli
kaleczy skórę
i nie nadąża
nowych ran zagoić

Utyskujemy
na małość świata
co ziemię pustoszy
depcze ludzi
z dzieci czyni towar

Utyskujemy

Utrapieni siejemy
w spieczoną ziemię
nasionka piękna

Kiełkują powoli
obrazami wierszami
by planecie nie zabrakło tlenu
i serce nie skamieniało

żądzą pieniądza

Utyskujemy
a morskie fale
biją o brzeg

Pamięć ciszy

Cisza to pamięć umarłych
pod nagrobkiem śpiących bez ruchu

Ciszę cisza tylko przekrzyczy
dzwonów na wieżach umilkłych
próżnych próśb niewierzących

Cisza jesienną mgłą stąpa
na palcach boso po mchu

Cisza się w pustym domu zalęgła

Cisza na mnie czyha aż cicho oddam dech

Miasto nocą

Światła miasta
pożerają mrok
Tylko ten w nas
pozostaje
jak szcerniała rana

Tchórzliwa noc
stłumiła hałas
by nie wykrzyczał
beznadziei
statków na pustyni
skrzydeł złamanych
sytych głodujących
rozbitków pod mostem

Pustymi ulicami
włóczą się sny
co zbłądziły
Siadają na trawie
i ronią rosę

Nieznajomy

Nadszedł księżycowym światłem
lekki jak sen
zatrzymał u progu
nocy ciemnej

Zgubił klucz
nie dzwonił
wahał się
stał
ni wizerunek
ni widmo

Noc grzmotem fal
odkrywała
z kołacza czasu

Bez pozdrowienia
bez głosu
z pierwszym promykiem słońca
jak mgła się rozproszył

Wieczór z Mozartem

Nad morzem się wznosi
zawój księżycowego światła
srebrna ścieżka

Ostrożnie wstępuję
prowadzi mnie Mozart
w górę w dół
falami czasu
Zimne światło
i ciemność

Muzyka krucha
jak promień
Poseł gwiazd
Połyskuje rosą na paprociach
tanecznym krokiem
po pajęczynie

Między gwiazdami a ziemią
kolorowe motyle
lotne obrazy
wznoszące się przeźrocyste
ważki wierszy
wzdłuż srebrnego zawoju
łabędzie na fali

Mozart się uśmiecha
przebiega po promieniach
jak po strunach skrzypiec

Śmieje się i tańczy
na cierniach na ostach
na ostrogach gwiazd

Gwiazdy beznamiętnie
przymykają powieki

Ranek nad Bałtykiem

Ślady
po nocnej pielgrzymce
fal
po miłowaniu się
wody z brzegiem
pokruszone
muszle na piasku

Smutek mroku
odchodzący
Nadzieja słońca
w obłokach zorzy
i morze
bez końca

Lato powoli traci
strzępki wierszy
Pod drzewami
kolorowe liście
przeszłych dni

Szukam wśród nich
twojego
niedoręczonego listu

*Wiersze Věry Kopeckiej
tłumaczył z czeskiego
Antoni Matuszkiwicz*

Christian Medard Manteuffel

W światłocieniach Syriusza

*Widziałem we śnie Boga,
a miał on dwa oblicza.
Jedno było łagodne i delikatne,
jak oblicze jakiejś matki,
to drugie przypominało
oblicze szatana.*

„Der Fall des Imman” – Nawal el Saadawi

1. W ruinach prezbiterium

...Cypr,
górska wioska na Wyżynie Troodos
rynek małego miasteczka;
brak miejsca w gospodzie,
krzyż na gruzach kościoła
oświetlają wojskowe reflektory
bazy Unitet Nations.

Na ścianach malowidła
Krzyżowej Drogi
w bizantyjskim stylu:
jakże realne wydają się tutaj,
gdzie na gwieździstej nocy
palmy jak anioły
rozkładają nielotne skrzydła.

Na resztach murów
sceneria ostatniej drogi;
jeszcze na murze zostały postacie
z pejczami,
malowane wrzaski gawiedzi,
omdlenie matki,
gest Cyrenejczyka,
chusta Weroniki.

Cień krzyża przesuwa się
w świetle czujnego reflektora
w żalomie dawnej krypty,
w zburzonym prezbiterium,
ustrojona scena narodzin,
jak pierwsza stacja Krzyżowej Drogi...

Psia Gwiazda wskazuje niezmiennie
jedno i to samo miejsce

Cypr, Wyżyna Troodos, grudzień 2006

Cisza, jak makiem zasiał. Scena narodzin
Syna Bożego ustrojona była w narożnej
części rynku. Bliżej nawet od strzelistego
minaretu niż od kopuły świątyni grekokato-
lickiej, wystawiono naturalnej wielkości
figury postaci i zwierząt otaczających żłobek.
Nie było to żadne *święte miejsce* wśród nędz-
nych chat i ubóstwa otoczenia, choć mogło
ono przypominać do złudzenia tamto, *nie
bardzo podłe miasto*, gdzie dla brzemiennej
Marii *zabrakło miejsca w gospodzie*. Radość i
nadzieja emanowała z tej sceny, tym bar-
dziej, że w sąsiedztwie znajdowała się kwa-
tera jednostki pokojowej United Nations.

Znana mi dobrze scena. Ile ja już tych
scenek widziałem. Obserwowałem Alego.
Chciałem coś powiedzieć, ale Ali uprzedził

mnie.
– Czarna Mariam – wskazał głową w kie-
runku figury matki Chrystusa i spojrział
porozumiewawczo na mnie.

Uśmiechnąłem się. Wiedziałem o co cho-
dzi. Na promie, którym płynęliśmy z Efezu
spotkaliśmy Polkę, która przysiadła na ławce
i wystraszona niespokojną powierzchnią
morza, przesuwała koraliki różańca. Zaczęło
się od tego różańca. Ali opowiadał jej o ró-
żańcu z 99. paciorkami, który mają jego
współwyznawcy. To już przykuło jej uwagę, a
Ali zadowolony, że znalazł słuchaczkę, się-
gnął aż do Abrahama. Kiedy jednak zapytał
czy wie o tym, że w Efezie przeżyła ostatnie
lata życia matka Jezusa, nie wytrzymała.

– Matka Boska? – zapytała absolutnie
zdumiona rewelacją. – A kiero to była? Ta
czorno?

Ale patrzył pytająco na kobietę. Myśla-
łem, że nie zrozumiał gwarowej odzywki.
Zapytał.

– Jaka czarna? – powtórzył pytanie. –
Przecież była tylko jedna – odpowiedział
zdziwionej Polce.

– Jak to jedna – ta nie oddała za wygraną.
– A ta czenstochosko? A wileńsko?

– Dobrze, Ali – uspokoiłem przyjaciela. –
Wyjaśnię ci później.

Alego poznałem jeszcze w latach osiem-
dziesiątych. Był pracownikiem polskiego
ataaszatu w Pakistanie i w nagrodę wysłano
go na studia do Polski. Religie współczesne
stały się jego pasją. Nie skończył studiów.
Gdy go po latach równie przypadkowo odna-
lazłem, cel miał jeden; wykazać wspólne
pochodzenie religii monoteistycznych. Był
święcie oddany dogmatowi, że przecież świat
jest jeden i jeden Bóg go stworzył. Spojrza-
łem teraz na twarz figurki matki pochylonej
nad dzieciątkiem w żłobku. Rzeczywiście, jej
twarz była śniada, prawie brązowa. Nad tą
sceną zawieszono atrapę Syriusza, Psia
Gwiazdę, która według podania wskazała
miejsce wędrowcom. Syriusz, wskazujący
zawsze jedno i to samo miejsce na Ziemi.
Zrobiło się późno. Wypiliśmy jeszcze prze-
słodzoną kawę u Turka w bezpośrednim
sąsiedztwie meczetu. Czekala nas jeszcze
daleka droga.

2. Profile krzyża

*...udali się w drogę. Gwiazda zaś, którą wi-
dzieli na wschodzie, poprzedzała ich aż do
miejsca, gdzie znajdowało się Dziecię; tam się
też zatrzymała. Widok tej gwiazdy napełnił ich
bardzo wielką radością. A gdy weszli do środ-
ka, zobaczyli Dziecię z Maryją, Matką Jego.
Upadli tedy na kolana i oddali Mu hołd, a
potem, otworzywszy swe szkatuły, złożyli w
darze: złoto, kadzidło i mirrę. A kiedy zostali
we śnie pouczeni, by nie wracali do Heroda,*

*inną drogą udali się do swojej ojczyzny. Mat
2:1-12 br*

Dopiero wsiadając do samochodu zoba-
czyłem w lusterku przesuwający się po niefo-
remnych ruinach – dziwnie wraz z czujną
smugą reflektora – światłocien profilu bizan-
tyjskiego krzyża. Ali stał jeszcze na zewnątrz
i najwyraźniej też był zaskoczony widokiem.
Przyjechaliśmy tutaj w dzień i nie zwrócili-
śmy na niego uwagi, dopiero smuga reflektora
wydobyła z przestrzeni jego czarny kon-
tur. Tutaj po raz pierwszy rodacy apostoła
Pawła dowiedzieli się o wydarzeniach na
Golgotie. Krzyż, który tutaj pozostał, zacho-
wał w sobie symbol drabiny łączącej Ojca z
Synem, a także wskazującej ostatnią drogę
człowiekowi żyjącemu na Ziemi. A tuż, jak
ostatnia scena drogi krzyżowej, ta scenka z
narodzonym synem Boga. Ali wszedł do
samochodu bez słowa. Ruszyłem. Smuga
światła przebiła teraz tylną szybę i odbiła się
jaskrawo w lusterku. Odruchowe hamowa-
nie. Teraz ten wojskowy reflektor z bazy
United Nations budził uczucia inne, niż uczu-
cia radości i nadziei. Zaczynał się dopiero
adwent, a jakbym wjeżdżał w drogę krzyżo-
wą. Przecież jeszcze nie przebrzmiały w
moich uszach słowa kolędy śpiewanej w
moim polskim domu; „a prorocтво jego
zgonu już się w świecie szczy”. Ruch na
drogach greckich jest lewostronny. Grecy nie
przyjęli religii anglikańskiej, ale od swych
wieloletnich okupantów nauczyli się prowa-
dzenia osiołków po lewej stronie drogi. Gdy
człowiek jest zmęczony doprowadza to do
zawrotu głowy.

Kilka dni później znalazłem się w wiosce
pośród wzgórz Jury Szwabskiej, do której los
rzucił mnie w latach osiemdziesiątych. Nie-
pojętą wydaje się dla przedstawicieli innych
religii filozofia chrześcijańska nakazująca
kult dla symbolu męki Syna Bożego. W roku
1945 zmarła na wygnaniu i w zapomnieniu
czołowa poetka niemieckiego modernizmu,
poetka miłości prądu *Młodych Niemiec*, Else
Lasker-Schüler. Mimo żydowskiego rodowo-
du zbliżyła się bardzo do postaci Chrystusa.
Wszystko w tej historii było dla niej wzrusza-
jące i piękne zarazem. Poza samą męczeńską
śmiercią na krzyżu syna wszechmocnego
Boga. Pewien współczesny poecie niemiecki
krytyk literacki wspomina tę jej rozterkę:
„Ona była jednocześnie najbardziej niemiec-
ka i najbardziej żydowska, jak można by to
było sobie przedstawić. Trwała namiętnie
przy swoim żydostwie, a przecież (albo
właśnie dlatego) trwała przy postaci Chry-
stusa. Przysłała mi kiedyś kwiaty, które
zrywała sama na Golgotie. Lubiła rozmawiać
o sprawach boskich. Chrystus objawiał jej się
często wraz z dwunastoma apostołami.
Niejednokrotnie bywało, że nagle konstatowa-
ła i z wielkimi oczyma mówiła: *Jakże więc,*

jeżeli On rzeczywiście był synem Boga?

Jak to, jeżeli on rzeczywiście był synem Boga? Bóg, stwórcy światła, zsyła na Ziemię swojego syna po to tylko, aby ten żył wśród ludzi jak oni i ich, grzesznych, tak umiłował, by życiem swoim okupić u Ojca grzechy tego świata! W religiach tego świata Bóg był władcą na wzór struktur panujących na Ziemi. A więc despotycznym panem karzącym za nieposłuszeństwo karami bardziej dotkliwymi niż czynili to władcy ziemscy. Taki był jeszcze Bóg Pięcioksięgu, Bóg Abrahama. Else Lasker-Schüler, jeśli nawet nie znała, czy znać nie musiała Nowego Testamentu, wołanie: *Eloi, Eloi, lema sabachthani!* znane jej było z Psalmów Dawidowych Starego Testamentu i musiał ją zastanowić nie tylko ten krzyk zwątpienia umierającego na krzyżu, ale i odwołanie się Chrystusa do tego zapisu proroków z *Psalmu 22*, którego zapis rozpoczyna ten właśnie krzyk. Życie i śmierć Chrystusa jest spełnieniem zapisu proroków nie tylko w tym zwołaniu Ukrzyżowanego. Jego pojawienie się na Ziemi, życie, a także śmierć zapowiadały proroctwa pięcioksięgu. A jednak główną przyczyną zwątpienia tych, którzy *Go cztery tysiące lat wyglądali* stał się sam krzyż, śmierć domniemanego mesjasza na krzyżu, w szczególności gdy Stary testament powiada, że każdy kto umiera na drzewie jest przeklęty przez Boga.¹ Krzyż stanowił dla nich kamień obrazu. Poświęcenie przez Boga własnego syna na straszliwą śmierć na krzyżu nie mieści się także w mentalności wyznawców islamu, która to religia potwierdza istnienie Jezusa, zaprzecza jednak ukrzyżowaniu, a w konsekwencji i zmartwychwstaniu. *Wedle Koranu* – opowiadał mi mój przyjaciel Aslam – *Jezus nie został ukrzyżowany ani zabity, a jedynie tak wydawało się ludziom: w rzeczywistości Bóg wziął go do siebie...*

Wszedłem do kościoła. Kościół wybudowano po wojnie dla rzeszy katolików, którzy napłynęli do ewangelickiej wioski ze Wschodu Europy po wojnie. Zdawało mi się, że jestem sam. Lecz nie. Pod krzyżem klęcząca postać. To Krzysztof Blaszyński, proboszcz tej odległej od Polski parafii. To już marzec, w kościele katolickim rozpoczął się okres pokuty. Zналиśmy się dobrze, ale teraz, zagłębiony w modlitwie, zdawał się nie zauważać mojej obecności. Szopka z dzieciątkiem Jezus stanowiła o tej porze roku integralną część głównego ołtarza. Na co dzień ołtarz ten to krzyż z naturalnej wielkości sylwetką umęczonego Żyda z twarzą zastygłą w bólu. Ale lalka w żłobie na sianie miała rysy zgoła inne, jak semickie. Ten krzyż za plecami zatroskanej matki przytłaczał grozą spełnionego strasznego proroctwa, scenę rozgrywającą się u dołu. Nie było nikogo w kościele; stanąłem za figurą Marii zasłaniając sobą cień krzyża. Przeraził mnie odgłos moich własnych kroków; wszyscy wierni odeszli, była późna noc i kościół był pusty. Tak zaczynają się co roku niekończące się cykle narodzin i śmierci Syna Bożego. Wkrótce, w pewien wiosenny piątek, stanę się jednym z tych za których umrze na krzyżu. Ufny w Jego zmartwychwstanie obojętnie przejdę obok krzyża na rozstajach i nie zapytawszy o właściwą

drogę, obmyję ręce w przydrożnym strumieniu i pójdę dalej. Jak ubiegłego roku. Jak każdego roku mojego życia. Jak ty i jak on. I pewnie sięgnę po znak męki Chrystusa, aby przysiąc na niego, jak czynili to moi przodkowie w ponad dwutysięcznej tradycji. Nie zasnąłem tej nocy, ostatni bez rozgrzeszenia za winę tej daremnej śmierci Bożego Syna.

Tutaj pożegnaliśmy się z Alim. W Niemczech interesował go kościół luterański, o który opowiadałem Alemu. Stał on na podwalinach świątyni z czasów Wielkiego Cesarstwa Rzymskiego. Stał się w naturalny sposób kościołem katolickim, a w szesnastym wieku Szwabi uczynili z niego kościół protestancki. Stąd Ali miał jechać do Anglii, aby poznać tamtejszą religię. Żegnaliśmy się życząc sobie ponownego spotkania. Obiecał, że przyjedzie do Polski. Mieliśmy się spotkać i zrobić wycieczkę do Częstochowy.

W drodze do mojego rodzinnego domu na Kujawach zatrzymałem się na nocleg w przyjaznym hoteliku urządzonym w starym pałacyku z czerwonej cegły przy starej dwójce, gdzie zatrzymuję się odąd zawsze. Zasnąłem szybko. Obudził mnie melodyjny wschodni głos recepcjonistki w słuchawce telefonu. Czekają na mnie śniadanie. Na ścianie gościnnego pokoju stołowego duża kopia ikony Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Moja dotychczasowa fascynacja tym obrazem sprowadzała się do jego bizantyjskiego stylu. Teraz przyjrzałem się aniołom: przedstawieni są na ikonie w pozycji adoracji, zwróceniu ku matce z dzieciątkiem. W dłoniach trzymają narzędzia męki. Gabriel trzyma krzyż i cztery gwoździe, Michał zaś wazon z octem, włócznię i trzcinę z gąbką. Nikt nie wie kiedy i w jakich okolicznościach powstał ten obraz. I tylko w domysłach chrześcijan pozostanie to, czy może Bóg tak pokierował losami tej prawosławnej ikony, by zbliżyć do siebie Kościoły Wschodni i Zachodni? Bo przecież, jak niestrudzenie powtarzał chcąc dowieść wspólnych korzeni, Bóg jest jeden. Zgodziliśmy się co do tego z Alim bez sporu.

Recepcjonistka miała na piersi duży prawosławny krzyż na złotym łańcuchu. Czas jechać...

– Boh s wami!

3. ...w jedni

*My piekielni,
Pókiśmy rozdzielni –
Ale biedni,
Gdyśmy w jedni;
Twąśmy krwią,
Twym obrazem!
Miej, o Panie,
Zmiłowanie –
Już my razem!*

Zygmunt Krasiński; z *Psalmu żalu* – 1846

Pod wieczór wjechałem do mojego rodzinnego Brześcia Kujawskiego witany na rogatce uniesioną w pozdrowieniu ręką Chrystusa. Mój rodzinny Brześć, miasto-

kronika ważkich wydarzeń w polskiej historii. Wchodzę do starej fary, gdzie mój dziadek, ewangelik Medard Manteuffel, podawał mnie do chrztu księdzu patriocie Stefanowi Kulińskiemu. Gdzieś w tej krypcie z grobem Chrystusa pozostało echo donośnego śpiewu mojego ojca. „Boże, coś Polskę... racz nam zwrócić Panie”. Nie rozumiałem wtedy, że za to grozi kara. Spoglądałem na główny ołtarz ze sceną morderstwa świętego Stanisława. Król polski morduje kapłana przed krzyżem! Jakże to? Polska się rozpada! W czasach rozbitcia dzielnicowego wierzone, że tak, jak zrosło się ciało św. Stanisława, tak też zjednoczy się podzielone na dzielnice Królestwo Polskie. Na ścianach obrazy przywodzące do świadomości historii pokalania znaku męki Chrystusowej na białych płaszczach niosących śmierć i ogień łokietkowej stolicy. Stąd wyruszył Łokietek przeciw tym zakonnikom spod znaku Maryi pod pobliskie Płowce i tutaj upominał Krzyżaków arcybiskup Janisław w imieniu Stolicy Apostolskiej. Tutaj ten mały wzrostem i wielki duchem, urodzony na Kujawach król, połączył znów naród pod znak *Kyryi Krysti*. Stąd wyruszył pod Grunwald król Jagiełło. A gdy raz jeszcze Krzyżacy podnosili się z kłeski w 1454 roku, pod murami świątyni Księstwa Brzesko-Kujawskiego Sędziwoj z Czechła, profesor Wszechnicy Krakowskiej, wzywał naród do kontynuowania walki.

Gdy opuszczałem Polskę w roku 1988, wywoziłem ze sobą z troską o jego trwałość obraz niezwykłej konsolidacji wszystkich sił, które miały wpływ na społeczeństwo. Tę konsolidację zawdzięczaliśmy wtedy głównie kościołowi polskiemu. To wokół niego skupiły się wszystkie warstwy społeczeństwa połączone sprawą nadrzędną, wspólną dla wierzących i ateistów, dla intelektualistów i robotników, a także dla ludzi w partii, acz nie komunistów. Mieliśmy szczęście mieć wielkich kapłanów w osobach Stefana Wyszyńskiego i Jana Pawła II. I poetów na miarę wieszczu Zbigniewa Herberta i Czesława Miłosa. I mieliśmy oddane sprawie jedności legiony księży i poetów.

Televizja Polska emitowała w dniach świątecznych trylogię. Nie wiem, czy dlatego, że to już tyle lat upłynęło od czasu, gdy wchłaniałem w siebie te książki ze świętym przekonaniem, że czynię zadość mojemu tacie poznając prawdziwą historię Polski, czy też konfrontując, chcąc nie chcąc to, co dzieje się w filmie z wiadomościami, które podawała ta sama telewizja w przerwach między odcinkami polskiej epopei historycznej, patrzyłem i pytałem siebie: *na co nas stać, Polaków, na zdradę i na przysięgi na krzyż bez zmruczenia oka w imię prywaty? Gdy czytałem trylogię po raz ostatni, było to w innej Polsce. Bez krzyża w siedzibie sejmu. Czy to dlatego czyni się dziś z krzyża i świętych elementów wiary nadużycie: „W ogóle nie przysięgajcie. Ani na niebo, bo jest tronem Bożym. Ani na ziemię, bo jest podnóżkiem stóp Jego. Ani na Jerozolimę, bo jest miastem wielkiego Króla. Ani na twoją głowę nie przysięgaj, bo nie możesz jednego włosa uczynić białym albo czarnym. Niech raczej mowa wasza będzie: tak, tak; nie, nie. Co nadto jest, od Złego pochodzi.” (Mt 5,34-37)*

(Dokończenie na stronie 10)

W światłocieniach Syriusza

(Dokończenie ze strony 9)

Po emisji filmu spotkanie polityków reprezentujących partie polityczne wolnej Polski. Pierwsze słowa, jakie do mnie docierają, to nienawistne epitety zwaśnionych ludzi. Przez chwilę tylko staram się dociec o co chodzi. Gdy wyjeżdżałem z Polski w roku 1988 nic nie było jeszcze pewne, a wszystko możliwe. Wszystko, ale nie to. Wyłączyłem.

Moc znaku krzyża zinstrumentalizowana przez człowieka, musiała w konsekwencji doprowadzić i doprowadziła do zwaśnień. „Gdy religia staje się częścią ideologii politycznej, projektu cywilizacyjnego bądź kulturowego, stanowi uzasadnienie najbardziej cynicznych działań”.²

Instrumentalizacja religii w *ponowoczesnym świecie chrześcijańskim* staje się problemem, na który w pierwszej kolejności nie może być obojętny kościół, ponieważ jeśli nawet nie odwróci to wierzącego od wiary, odwróci od kościoła spod znaku krzyża. Przykłady ludobójstwa dwudziestego wieku w imię Boże, w imię krzyża, są łańcuchem ciągów podobnych wydarzeń od czasów nie wiele odległych od śmierci Chrystusa na krzyżu. Jednakże działo się to wszystko gdzieś w dalekim świecie, a może tak tylko mówili, w każdym razie daleko od nas. Dziś instalujemy sobie w naszych domach okno, przez które widzimy cały świat, a świat widzi nas.

*Wprawdzie nasza epoka sprzyja nieco płytkim i niewymagającym wyborom duchowym, ale nie powinniśmy zapominać o duchowych kosztach najróżniejszych form wymuszonej jedynomyślności: o hipokryzji, duchowym ośpieniu, wewnętrznym buncie przeciwko Ewangelii, pomieszaniu wiary i władzy czy zjawisk jeszcze bardziej bulwersujących.*³

Mamy ich dość w historii naszego kraju. Czemu jednak wówczas, gdy ceną krwi opłaciliśmy odzyskanie wolności?

Christian Medard Manteuffel

¹ V. Księga Mojżeszowa.

² Dr Witold Worach, *Ponowoczesna kondycja chrześcijańskiej wiary*; „ZARYS”, nr.5. Ur. 1975. Ukończył filozofię na Uniwersytecie Śląskim i teologię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Zajmuje się zagadnieniami z zakresu antropologii filozoficznej i etyki.

³ Prof. Charles Taylor, *Oblicza religii dzisiaj*, Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK, 2002. Ur. 1931 kanadyjski politolog i filozof (filozofia komunitaryzmu). Ukończył studia na uniwersytetach w Montrealu i Oxfordzie. Tematem jego badań jest filozofia moralności, tzw. „identyzm zachodni” i koncepcja społeczeństwa multikulturowego. Taylor proponuje ponowny zwrot do wartości religijnych, aby przywrócić sens życiu.

Konopnicka i Vrchlický

Jaroslav Vrchlický miał gorący stosunek do polskiej literatury i do polskich pisarzy. Wielu z nich znał osobiście, między nimi również **Marię Konopnicką**. Obydwoje spotkali się w jego domu w Chuchli koło Pragi na początku jesieni 1884 roku. W spotkaniu towarzyszył Konopnickiej dziennikarz František Šimáček, którego śmierci w następnym roku bardzo żałowała. Zachowane listy, które Konopnicka pisała do Vrchlickiego, świadczą, że ich praskie spotkanie było równocześnie pierwszym i ostatnim.

Czeskiego poetę Konopnicka często tłumaczyła; przetłumaczonych wierszy jest kilkadziesiąt. Szósty tom jej Poezji z 1904 roku zawiera 37 wierszy Vrchlickiego – pomimo tego wspomniany tom nie zawiera wszystkich, przewierszowanych przez Konopnicką, utworów czeskiego poety. W zamian za to dedykował jej wiersze: *Spartakus (Złomki epopeje – Fragmenty epopei)*, *Jeździec w lesie (Fresky a gobeliny – Freski i gobeliny)* i część *Sonetów heroicznych* ze zbioru *Sonety samotnika (Sonety samotáře)*.

O Vrchlickým kilka razy pisała Maria Konopnicka w czasopiśmie „Świt”, którego była redaktorką, a także w „Przeglądzie Literackim” i w czasopiśmie „Tydzień”. Podobnie i Vrchlický z okazji jubileuszowych uroczystości Marii Konopnickiej w 1902 roku wystąpił z przemówieniem w Ognisku Polskim, które było polską organizacją studentów żyjących w Czechach. Jeszcze tegoż roku było publikowane w czasopiśmie „Maj”. Jaroslav Vrchlický wysoko ocenił w nim jej zbiór *Italia: Właśnie w przedwieczór jubileuszu wyszedł w tłumaczeniu Pavly Maternové cały, a chyba najpiękniejszy zbiór Italia, który nie tylko w historii polskiej literatury, ale także całego Słowiaństwa, stoi obok najlepszego i największego, co zrodziła poezja XIX-go wieku*.

Poezję poetki charakteryzował później następującymi słowami: *Wystawia dusze i serce Polski, przechodzącą przez pryzmat sztuki, klasycznych reminiscencji, przyrodniczych wrażeń, patriotycznych tradycji i legend z całą delikatnością kobiety i matki. Umie do delikatnych improwizacji przyłączyć ciężkie metalowe uderzenia swojej cierpiącej duszy, co na jej palcec lśnią i migoczą olśniewające kolory*.

W 1902 roku w czasie jubileuszu dwudziestopięcioletnia literackiej twórczości Marji Konopnickiej, Vrchlický nie tylko wygłosił przemówienie o polskiej pisarce, ale napisał nawet o niej sonet. Czasopiśmienniczo ukazał się w ciągu jubileuszowego roku w „Kwiatkach”, książkowo w zbiorze *Przemijające iluzje i wiekiuste prawdy 1904 roku*.

Między literatami przebiegała stosunkowo żywa korespondencja. Z listów, które pisała Maria Konopnicka, zachowały się 34 kartki, które są złożone w Muzeum Narodowego Piśmiennictwa w Pradze, a w Polsce były publikowane w całości. O odpowiedziach Vrchlickiego przysłanych autorce nie

wiemy – o ile wiadomo – nic. Konopnicka w swoich listach podziwia poezję poety. O zbiorze *Perspektywy* i o jego części *Stare freski* pisze z Warszawy w listopadzie 1884 roku: *W te „Perspektywy” Wasze zapatrzeć się można i myśl w nich zgubić aż do zapomnienia, że się żyje w wieku, w którym ludzkość na krótkowidztwo choruje. Umiecie, drogi Poeto, z dziwną siłą pokazywać ścieżki ducha, wydeptane kiedyś, dawno, kiedy jeszcze duch na ziemi chodził... Stare freski mają naprawdę tę świeżość i dziewiczą naiwność dawnych malarzy, które się kwieciły pod ręką jakiegoś Fra Beato...*

Nie inaczej wypowiada się Maria Konopnicka o dramacie Vrchlickiego *Julian Apostata: Jestem bardzo zaciekawiona Waszym Apostatą. Postać to wysoko dramatyczna w swoich psychicznych momentach; całe skarby dobyć z niej można. Z góry czuję, żeście Wy, Panie, byli szczęśliwym i mocnym czarodziejem, który skarby te dobyć umiał; chciałabym też zobaczyć je jak najrychlej*.

Listy, które dostawała Konopnicka od Vrchlickiego były dla niej pewnego rodzaju balsamem, życiową otuchą; na końcu swoich listów często domagała się uciechy i szybkiej odpowiedzi: *...rada bym w Waszej Pradze być i zobaczyć Was, i usłyszeć głos Wasz. Jest mi tęskno. Myśli moje proszą się mnie, żebym je do Was puściła... Ano, nie wiem, jak przyjęte będą, bo już tak dawno nie miałam ani jednego od Was słówka. – Wiem, Panie, że Wasz to do życia wcale niepotrzebne; ale mnie potrzebne. – Czy będziecie w Karlsbadzie tego lata? Jeśli tak – przyjadę tam. Pragnę tam być. Żegnaj Was, Panie. Piszcie do mnie, proszę*.

Obydwoje autorzy napisali zbiory poezji inspirowane Italią – u Konopnickiej jest to zbiór zatytułowany *Italia*, u Vrchlickiego wiele lat przed Konopnicką wydany zbiór *Rok na południu*.

Konopnicka i Vrchlický podziwiali włoskiego malarza Giotta, a każdy z nich napisał o nim wiersz. Konopnicka w swojej Italii ucieleśniła *Giottową madonnę*, Vrchlický w wierszu *Giotta a dusza (Co dało życie)* uchwycił marne pragnienie artysty wyobrażenia sobie ludzkiej duszy.

Obydwoje poeci pracowali nad obszernymi poematami: Konopnicka w pełni, a u Vrchlickiego tylko po części inspirowany Mickiewiczem. Te bodźce Konopnicka realizowała w *Panu Balcerze w Brazylii* a Vrchlický później w kilku obszernych kompozycjach a przede wszystkim w epopei *Twardowski*, który czerpie motywy z polskiej rzeczywistości. To dzieło w jednym ze swoich listów nazwała Konopnicka „słowiańskim Faustem”.

Poeci byli znaczącymi tłumaczami i mieli częściowo podobne miłości – obydwójce tłumaczyli austriackiego Roberta Hamerlinga i włoską Adę Negri.

W październiku 1885 roku Maria Konopnicka napisała Vrchlickiemu: *Coraz tu bardziej należycie do nas, Panie. Polska Was zna i kocha*. Obawiam się, że w obecnym czasie Polska Vrchlickiego nie zna. A czeski czytelnik stopniowo o nim zapomina.

František Všeticka

Jerzy Lengauer

Magiczna Bretania

Nie ma się chyba czego wstydzić. Takich wyrazów *tajemniczych*, wypowiedzianych mało wyraźnie, unikanych jest dość sporo. Banałem jest przyznanie się do tego, że jest się mało czytającym. Receptą jest, oczywiście, jak najczęstsze sięganie do słowników. Tak często, żeby zapamiętać na zawsze pisownię i rzeczownika, i przymiotnika, jak w przypadku Bretanii. Humor nieco poprawił mi Christian Querré w przypisie na stronie czterdziestej piątej niewielkiej książeczki pod tytułem *Magiczna Bretania: W języku francuskim nie ma rozróżnienia między wyspiarską Brytanią (ojczyznę celtyckich Brytów, którzy pod nawałą Anglosów opuścili między V a VIII wiekiem swoją pierwotną ojczyznę migrując do Armoryki) a Bretanią kontynentalną (Bretagne armorykańską). Brytowie stawali się stopniowo Bretonami i w końcu Bretończykami, a Armoryka Bretanią. W celu rozróżnienia tych dwóch krain Francuzi muszą dodawać dodatkowe wyjaśnienia typu np. Bretagne insulaire (Bretania wyspiarska, czyli Brytania; Wielka Brytania to Grande Bretagne).*¹

Zatem i w moim słowniku przez jakiś czas nie było rozróżnienia między francuską Bretanią a mistyczną, bajkową Bretonią z *Warhammer Fantasy*, a obie zdarzało mi się pomylić, choć rzadko (jedynie w przypadku słowotoku), z wyspiarską Brytanią. Oprócz braków literackich winę widziałbym także w skąpm zainteresowaniu historią, szczególnie Średniowiecza. Bo cóż można wynieść ze szkoły średniej prócz *Pieśni o Rolandzie* i wojny stułetniej? Dla geografii historycznej Francji mało przydatna była także trylogia o trzech muszkieterach Aleksandra Dumasa ojca, choć oddająca dość wiernie stosunki panujące na dworze królewskim w siedemnastym wieku i czytana – zamiast podręczników – z wypiekami na policzkach. Cóż, poprawność językowa w przypadku przymiotnika potwierdziła się już w blurbie, gdzie książka rekomendowana jest następująco: „*Magiczna Bretania*” *prezentuje legendarne, historyczne, architektoniczne, folklorystyczne osobliwości znajdujące się w bretońskim departamencie Côtes d’Armor we Francji.*²

Książka ma jedynie sześćdziesiąt osiem stron, ale każda z nich, nie wyłączając tych trzech ze wstępu, przynosi niewiarygodną ilość wiedzy, która z kolei sprawia wyjątkową przyjemność czytelnikowi zainteresowanemu historią, geografią, architekturą, legendami, mitami i religią Bretanii. Owe wiadomości, ciekawostki, w pewnym sensie zagajenia, czy może przedmowy i prologi do ogromnej księgi historyczno-krajoznawczej Półwyspu Bretońskiego są podane ujmująco łatwym językiem, co wydaje się z pozoru niemożliwe, biorąc pod uwagę, że autor zdecydowanie woli operować nadmiarem

informacji, niż je dawkować. Nurza się w przyprawach Morza Celtyckiego, dopuszczając raczej, by czytelnik zatonął w powodzi danych, niż pozwalając, by stał suchą nogą na armorykańskim wybrzeżu i przesypywał w dłoniach jedynie piasek niewiedzy. Nie można wykluczyć, że jest to też zasługa tłumaczenia Kazimierza Brakonieckiego, dyrektora olsztyńskiego Centrum Polsko-Francuskiego, wszakże i tłumacza poezji francuskiej.

Magiczna Bretania podzielona jest na cztery rozdziały. W zamierzeniu autora trzy pierwsze poświęcone są sakralności Armoryki, czwarty – tajemnicom historii krainy. Jednak w trakcie lektury podział ten wielokrotnie ulega zatarciu. To nic nieprzyjemnego. Nic, co by wadziło przy czytaniu, psuło przyjemność odbioru, ponieważ książka stanowi zwartą całość. O dziwo, udaje się w tym labiryncie legend, mitów i wydarzeń historycznych zachować chronologię. Ta rozpoczyna się od neolitu (sic!), choć Querré wyprawia się w swojej opowieści i do paleolitu, i do człowieka z Cromagnon (region Nowa Akwitania położony jest na południe od Bretanii), kończy zaś na templariuszach z dygresjami po szesnasty wiek. A dygresji znajdziemy mnóstwo! Niewątpliwie uniknąć się ich nie dało. Tym bardziej, że książka anonsowana jest w blurbie jako *do czytania przed, w czasie i po podróży.*³ Czasami odnosimy wrażenie, że tekst pisany normalną czcionką to właśnie owe dygresje do spraw, o których autor zamierzał napisać więcej i które zostały ku rozwadze i uwadze czytelnika wydrukowane pogrubioną czcionką lub kursywą. Tak oznaczonych fragmentów książki (pogrubienie) znajdziemy wiele w środku, ale przede wszystkim na początku rozdziałów, tuż pod tytułem. Kursywą pisane są streszczenia legend, dawnych opowieści, mitów, żywotów świętych. Teksty te opatrzone są tytułami: *Mszczący się kamień, Dobre wróżki, Pałace monety, Mnich i druid* z pierwszego rozdziału. Tytuły posiadają również teksty krótkie, kilkuwersowe, prawie pisane na wzór artykułu prasowego. Po *headline* mamy właśnie pogrubieniem napisane *introduction*, zachęcające do zagłębienia się w mniej więcej jednostronicowe *body*. W ostatnim rozdziale są to: *Od Ys do Nazado, Starodawne miasto, Cmentarz mamutów?, Templariusze, Siedmiomilowe buty, Koło Fortuny, Mury obronne i zamki.*

Christian Querré (pisarz, malarz, psycholog) pióro ma zgrabne, uwodzące czytelnika łatwością opowiadania o Bretanii, sprawiające, że stłoczenie na kilkudziesięciu stronach dat, nazwisk, nazw polskich, francuskich, bretońskich i celtyckich w ogóle nie przytłacza odbiorcy, a wręcz upewnia, że to wiedza skromna, łatwa,

ważna, podstawowa, przydatna, niezbędna. Bez względu na to, czy książeczka Querré'a będzie służyła jako przewodnik na wycieczce po Bretanii, czy jako uzupełnienie po lekturze „cegły” o historii Półwyspu Bretońskiego, opracowania o religii celtyckiej, czy zbioru legend i mitów bretońskich.

Bez wątplenia tytuł koreluje z zawartością opracowania. Ową magiczność francuskiego regionu autor przywołuje zatem w kontekście krajoznawczo-geograficznym, historycznym i mitologiczno-religijnym, tworząc z tych fragmentów znakomity zbiór opowieści o Bretanii realnej i mitycznej, malując przed czytelnikiem obraz krainy faktycznie czarodziejskiej, istniejącej nie do końca prawdziwie, choć przecież obecnej na mapach i w literaturze naukowej, datowanej na przestrzeni dziejów urodzinami i zgonami postaci historycznych, nazwami miejscowości, rzek, gór i jezior, nadawania tytułów kościołom... Bretania jest rzeczywistością jak lotnisko, na którym się wysiada, żeby do niej dotrzeć, jak dworzec kolejowy, ale... jest także pod piórem Querré'a czymś całkowicie innym. Według pisarza, żeby odczuć jej czarowność, trzeba wejść do szafy w domu starego Profesora na wsi, dziesięć mil od najbliższej stacji kolejowej i dwie mile od najbliższej poczty⁴, albo *powiedzieć przyjacielu i wejść przez drzwi*, w których wykuto rysunek z *ithildinu*⁵, bądź po prostu (!) *pójść, trzymając się za ręce, żeby bawić się wesoło ze sobą w tym Zaczarowanym Miejsu na skraju Lasu.*⁶ Czymże jest wobec tego *Magiczna Bretania*? Ruchem ręki odgarniającej futra w starej szafie? Wypowiedzianym w języku elfickim zaklęciem przed wejściem do Morii? Powrotem do dzieciństwa z jego wszystkimi magicznymi zabawami, snami, tęsknotami, tudzież stertami bajek i legend ze wszystkich stron świata? Być może chodzi Querré-owi właśnie o osobliwe uczucia, które należałoby sobie przypomnieć, żeby dać się ponieść urokowi Bretanii? Może dlatego tak mocno akcentuje w książce wszystko, co niesie ze sobą tajemnicę, magię, zakurzone sekrety historii? Dzięki nieprawdopodobnemu tygłowi kulturowemu, mieszaninie wierzeń, kalejdoskopowi wydarzeń, czemu przysłużyło się samo położenie tej historycznej krainy, wystarczyło to i owo zaakcentować, podać skróty i streszczenia, rzucić tytuł, pogrubić czcionkę lub zmienić jej krój. I nie jest to zarzut od czytelnika, który zdaje sobie sprawę z ogromu pracy, być może wieloletniej i wcale nie mającej być w zamierzeniu autora ukoronowanej książką. Uporządkowanie, wyczerpanie tematyczne, pewna jasność wypowiedzi pozwoliły na zebranie na kilkudziesięciu

(Dokończenie na stronie 12)

Zamyślenia



Pół żartem, pół serio

Są pisarze, którzy żyją tak i piszą tak, jakby starali się przypomnieć sobie coś... zapomnianego. często nie wiedzą, co to ma być, ale wiedzą, że będzie to coś, co na pewno kiedyś, gdzieś zgubili, albo zostawili i są zdania, że mimo wszystko powinni wrócić do jakiegoś momentu, aby coś odzyskać. Czy można jednak wrócić do przeszłości? Tadeusz Kwiatkowski był pewny, że można i że należy wracać...

Oto jednemu z wyższych urzędników Ministerstwa Kultury i Sztuki, który dał się poznać artystom z nie najlepszej strony, uciekła żona. Słyszac tę łzawą opowieść Bogdan Brzeziński stwierdził krótko – nie był tego wart.

Swego czasu sopocka grupa malarzy przedstawiła komisji opiniującej sporych rozmiarów wspólnie wykonany obraz prezentujący pochód robotników 1905 roku. Jeden z jurorów krytykując dzieło uznał, że niebo na obrazie nie jest dość pogodne jak na tak wielką chwilę historyczną. Inny zarzucił małe wycucie ideologiczne, ponieważ na twarzach robotników nie rysuje się dość wyraźnie pasja walki klasowej. Jeszcze inny juror stwierdził autorytatywnie, że cały ten pochód nie mógł tak wyglądać w rzeczywistości. na to odezwał się znany malarz Juliusz Studnicki:

– A czy panowie sądzą, że „Wniebowstąpienie” wyglądało tak, jak namalował to Rafael?

Kazimierz Brandys należał do POP w redakcji tygodnika „Nowa Kultura”, zaś jego brat, Marian, do POP przy ZLP w Warszawie. Kiedyś na zebraniu partyjnym POP w ZLP w Warszawie, na którym ówczesny sekretarz przeprowadził ankietę na temat pochodzenia klasowego. Na pytanie o pochodzenie robotniczo-chłopskie podniosło się kilkanaście

rąk, na pytanie o pochodzenie mieszczańsko-inteligentkie podniosła ręce większa część zebranych. Na pytanie o pochodzenie burżuazyjne w górę podniósł rękę Marian Brandys, ponieważ ojciec Brandysów był bankierem. Złośliwy jak zawsze Stasiu Dygat zapytał:

– Cóż to, Kazimierz przyznaje się do swego ojca?

Wtedy Kazimierz, młodszy od brata o cztery lata, odparł:

– Kiedy ja się urodziłem, ojciec był już bankrutem.

Stanisław Jerzy Lec spotkawszy Irenę Szpalską dowiedział się od niej, że Szpalscy wyjeżdżają na stałe z Polski, tylko że Karol bardzo się martwi, co tam będzie robił i z czego będą żyli. Lec nie namyślając się powiedział:

– Gdybym miał talent Karola, nie wziąłbym więcej pióra do ręki.

Jacek Puget dowiedział się od swej *in spe* małżonki, że zaszła w ciążę i nie wiedział, co z tym fantem zrobić. Żenić się, czy nie? Wysłał wówczas do przebywającego w Paryżu swego ojca Ludwika telegram tej treści:

– Nie uważałem jak robiłem, co ma zrobić?

Stary Puget oddepeszował:

– Jak nie uważałeś gdy robiłeś, to rób co uważasz...

Do Stanisława Dygata, który mieszkał w pierwszych latach po wojnie w Krakowie przyszła młoda dziennikarka z radia na wywiad. Przez godzinę zwracała się do niego per pan. Dygat słuchał cierpliwie, aż przy końcu wywiadu oświadczył:

– Paniemka mnie bierze za Holuja...

Obrażona, zacuknęła się, myląc to słowo ze słowem, które nie przystoi pisarzowi, ale gospodarz ani myślał o sprostowaniu.

Kazimierz Iwosse

Magiczna Bretania

(Dokończenie ze strony 11)

stronach opowieści o świętych celtyckich i chrześcijańskich przybywających na bretoński półwysep zza morza i zza Alp. Świętych, którzy byli druidami, stawali się nimi, bądź z nich się wykształcali, którzy identyfikowali się z galijskimi uświęconymi strumieniami, drzewami, pagórkami. O mnichach i rycer-

zach walczących ze smokami. O Avalonie i królu Arturze. O Merlinie i Viviane. O Lancelocie z Jeziora i templariuszach. O wrózkach, olbrzymach, skrzatach, kościotrupach, diabłach. O Margot i Morganie. W końcu (czy raczej na początku) o menhirach...

Jak tu się nie dać zaczarować takim historiim? Ująć, opanować, położyć na piasku armorykańskiej plaży i szukać wzrokiem wyspy Aval? Na trawie pod cisem, bądź dębem, przy szmerze strumienia wypatrywać szepczących zaklęcia druidów? Może usłyszymy ciężkie stąpanie olbrzyma Gargantui? A z góry gór Menez-Bré uda się zobaczyć średniowieczne mury obronne i zamki, albo chociaż ruiny romańskiej baszty?

Jerzy Lengauer

„Magiczna Bretania”. Tłumaczenie z języka francuskiego i opracowanie Kazimierz Brakoniecki, Christian Querré, Centrum Polsko-Francuskie Côtes d'Armor – Warmia i Mazury w Olsztynie, 2015.

PRZYPISY:

¹ *Magiczna Bretania*, Christian Querré, Centrum Polsko-Francuskie Côtes d'Armor – Warmia i Mazury w Olsztynie, 2015, tłumaczenie z języka francuskiego i opracowanie Kazimierz Brakoniecki.

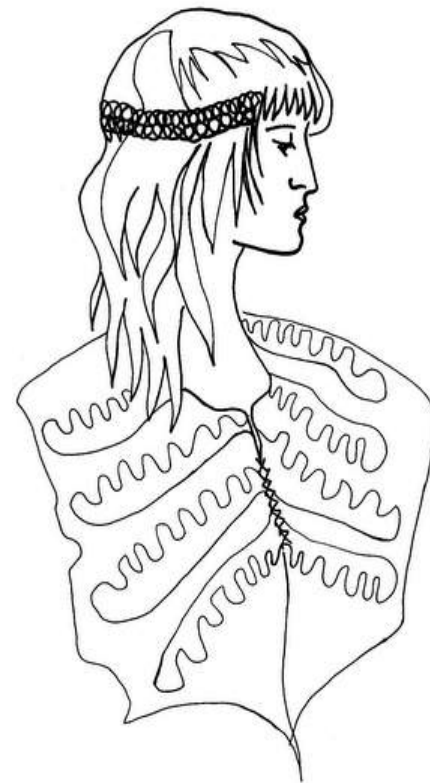
² Tamże, blurb.

³ Tamże, blurb.

⁴ *Lew, Czarownica i stara szafa w: Opowieści z Narnii*, C.S. Lewis, Media Rodzina, 2004, przełożył Andrzej Polkowski, s. 9.

⁵ *Drużyna Pierścienia w: Władca Pierścieni*, J.R.R. Tolkien, Muza SA, 2007, przełożyła Maria Skibniewska, s. 403-404.

⁶ *Kubuś Puchatek, Chatka Puchatka*, A.A. Milne, Nasza Księgarnia, 2004, przełożyła Irena Tuwim, s. 254.



Rys. Barbara Medajska

Kozetka (30)



Imaginarium pani z solarium. Życie na świeczniku. Fakty wyobraźni.

I garderoba duszy ma swoje żurnale.
Stanisław Jerzy Lec

„fakty wyobraźni” – jego zresztą też

Joanna Friedrich

Światła, światelka, świece, świecidełka.
Okres przedświąteczny.

Dziś pcham się na świecznik.

Jak tam jest?

Jak to jest być „światłem świata”? Czy
władza upaja, czy trochę oślepia?

Czy nie bezpieczniej kapać się w świetle
słońca?

Czy nie tym inspirowała się ikona władzy
absolutnej, Ludwik XIV Król Słońce?

Temat władzy, zdaje się, wyczerpał Mr
Orwell w „Roku 1984”. Natura człowieka jest
jednak niezmienna. Naiwność powraca. Że
tym razem się uda.

Władza wyznacza trendy: ustrojowe, in-
telektualne, kulturalne, naukowe, obyczajowe.
Chcemy być lepsi, mieć więcej, być Kimś.
Mieć prawo głosu, a nie wołającego na puszczy.

Na dworze króla, w przestrzeni publicznej, a ostatnio nawet w cyberprzestrzeni. Mówi się o arystokracji socjalmediów, czyli tych z największą ilością kliknięć.

Czy to by ubawiło Króla Słońce? Zainspirowało Piotra I Wielkiego? Zdegustowało Aleksandra Wielkiego?

Czy Kleopatra miała by instagram? Czy Carya Katarzyna prowadziłaby bloga?

Jakie tematy poruszałoby w mediach społecznościowych? Czy wyszłoby poza swoją bańkę władzy?

Czy władza w ogóle ogląda się za siebie?

Przecież historię piszą zwycięzcy.

Uwodzą erudycją, obietnicami, aparycją.

Co noszą? Tutaj wszystko musi być w dobrym tonie. Każda najmniejsza broszka może być informacją. Torebka – przenośnią. Przestrzeganie dress codu to na świeczniku obowiązek.

Opisuje go protokół dyplomatyczny.

Najlepszymi dyplomatami, jak powiedział Charles-Maurice de Talleyrand są ludzie leniwi i inteligentni. To ludzie, który dwukrotnie się zastanowią, zanim nic nie powiedzą (Winston Churchill).



„Jeżeli kobieta światowa mówi „nie” – to znaczy „być może”.

Jeżeli mówi „być może” – to znaczy „tak”.

Jeżeli mówi „tak” – to znaczy, że nie jest kobietą światową.

Jeżeli dyplomata mówi „tak” – to znaczy „być może”.

Jeżeli mówi „być może” – to znaczy „nie”.

Jeżeli mówi „nie” – to znaczy, że nie jest dyplomata.”

Tytułowe solaria były kiedyś hitem. Każda pani na przedmieściach, chciała być „panią z solarium”. Królowały Królowe Słońce.

Wygrało słońce, bo jednak nie można go pomylić z niczym innym. A i ono nie zawsze należało do „dobrego tonu”. Biel skóry przez lata oznaczała „stan wyższy”.

Kim jest więc ten – opalony lub nie – człowiek?

Uduchowione zwierzę tak bardzo przywiązujące wagę do zewnętrznych atrybutów.

Ćmy też pchają się na świecznik.

Przeszłość należy do zwycięzców, a przyszłość – do Ciebie.

Wszystkiego najlepszego w Nowym Roku. Kto wie, gdzie się spotkamy...

Miłość mieszka w ciszy

O tomiku poetyckim „Oddział zamknięty” Zbigniewa Smoczka

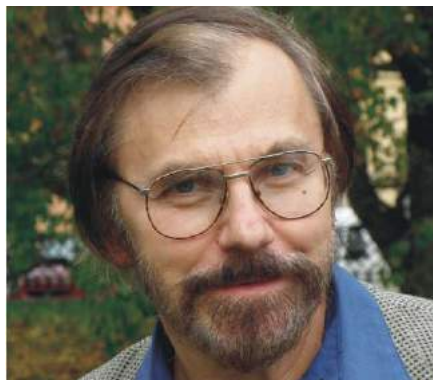
Autor tomiku pisze odważnie, prawdziwie i autentycznie. Nie bawi się zbytnio w modne w poezji trendy, takie jak pastisz, ironia czy cytat. Tworzy od zera swój własny świat, jak na byłego pacjenta tytułowego „zakładu zamkniętego” (z powodu melancholii), bardzo wspólny, bardzo zrozumiały, nic albo niewiele mający wspólnego z poezją autystyczną, pisaną dla siebie, do szuflady, czy dla znajomych.

Poezja współczesna chowa się pod naporem światowych stylów bycia, zdecydowanie ilościowo przegrywa z prozą, zwłaszcza fantasy czy dokumentem osobistym. Poezja nie jest tożsama z mistyką, ale może być „przedpolem” mistycyzmu, dziedzicem (profanum), zanim zostaniemy zaproszeni do wnętrza świątyni. Smoczek, z wykształcenia leśnik, przez wiele lat pracujący w lesie, blisko gdzieś tam pierwotnej natury (Puszcza Goleniowska), pisze sercem, nie głową, pisze mądrze, nie błyskotliwie, nie tracąc czasu na pisanie manifestów poetyckich, czy wahania na temat sensu poezji i szerzej liryki w coraz bardziej „prozaicznym” świecie. Dotąd wydał 9 tomików poetyckich, które krytyka ciepło przyjęła, zwłaszcza, że nie mamy tutaj do czynienia ze „zwykłym poetą”, piszącym z książek lub z głowy, lecz z doświadczonym bardzo przez tragiczny los człowiekiem szukającym pierwotnej mądrości i śpiewnej ciszy lasu, szukającym w tym lesie, pośród drzew i między nimi, a nawet na nich – Boga. To jednocześnie wiersze smutne (co zarzucali mu niektórzy Czytelnicy), i radosne, bo las pokazuje, że zima wiecznie nie trwa. I zawsze po burzy świeci słońce. Żeby nie być gołosłownym, przejdźmy do głębszej analizy i interpretacji poezji z tego tylko tomiku, pozostałe są trudno dostępne.

Najważniejszym bohaterem liryki Smoczka pozostaje niezmiennie sam Bóg. Nie wstydi się pisać o Bogu, układać poetyckie modlitwy i co więcej umieszczać Boga pośród cierpiących na duchu w szpitalu psychiatrycznym w Szczecinie. Oto sedno pogodzenia śmiertelnych dawniej wrogów, jakimi była religia i psychiatria. Bóg nie tylko jest obecny i milczący, On wchodzi w relacje i pomaga lekarzom w opiece nad chorymi: „Bóg jest bardzo zajęty/rozmawia z doktor Jolantą/mówi jej ile pastylek powinna dziś nam dać”. Okazuje się, że nie tylko „Bóg gdzieś tam daleko istnieje”, on wchodzi w konkret codzienności, ratuje od rozpacz, nawet poprzez wynalazek farmakologiczny. To przecież nie musi – zdaje się przekonywać liryczne „ja” – kłócić się z wiarą w Boga i nauką.

Rafał Sulikowski

Listy do Pani A. (I I 4)



Hurt i detal

Droga Pani!

Wisława Szymborska trafnie zauważyła, że ludzie głupiej hurtowo, mądrzej zaś detalicznie. Ciekawe, jak to będzie w tym zaczynającym się roku. Jednak symptomy zmian na lepsze rewelacji nie rokują. Szerzy się zlodziejstwo na najwyższych szczeblach, bezczelność, głupota, brak logiki. Są idioci, którzy gardzą np. za zburzeniem Pałacu Kultury; jakies ludziki, które powyłaziły z kanałów, usiłują rządzić, i własne chore pomysły uczynić prawem dla wszystkich.

Zostawmy jednak polityczne i decydenckie bagno. Ale czy lepiej dzieje się w innych środowiskach, naszego literackiego nie wyłączając? Zadufana w sobie snobistyczna grafomania wlewa się wszędzie niczym szeroka fala błota – wszędzie, czyli w opustoszałe miejsca po rzeczywistych autorytetach, wielkich talentach. Nie wiem czy Pani pamięta takich luminarzy, jak Artur Sandauer, Andrzej Krzysztof Waśkiewicz, Piotr Kuncewicz, Stefan Melkowski, Julian Rogoziński... To ludzie, którzy mieli dużo do powiedzenia, z ich zdaniem wszyscy się liczyli, ich opinie stanowiły ważne punkty odniesienia. Przede wszystkim umieli pisać. Od młodości poświęcali życie literaturze. Nie pchali się do niej dopiero w wieku emerytalnym, zapewne z nudów.

Żeby nie być gołosłownym muszę koniecznie zacytować Pani jeden z tekstów autora (spuśćmy nań zasłonę miłosierdzia), który usiłuje uchodzić za wielkiego znawcę, by – sięgając do historii – nie powiedzieć: Wielkiego Językoznawcę.

Ów geniusz przeczytał utwory literackie, z których większość dotyczy zagadnienia egzystencji w bezpośrednim środowisku zamieszkania bohaterów opowiadań, jak i samych autorów zaangażowanych w narrację, bardzo często sięgającą do retrospekcji, w sposób sytuacyjny, z udziałem przywołanych postaci z przeszłości. Narracyjne apogeum (graniczące z mistyfikacją, przekraczające granicę konfabulacji)... posługując się klasyczną personifikacją dotyczącą nie tylko świata zwierząt. U niej żyją nawet mury, duchem minionego czasu...

Ciekawa i pełna wynurzeń filozoficznych, jest jej miejska wyprawa do urzędu wymiaru

sprawiedliwości (fabuła opowiadania) w towarzystwie mitycznych osób, owianych nutką tajemniczości, w czasie bardzo zróżnicowanym – w zależności od mijanych szczególnych miejsc i obiektów, z których każdy ma dla autorki bardzo bogaty bagaż wspomnień i doświadczeń. Z autopsji i z opowiadań przodków.

...metaforyczność jakże wyszukana, są momenty, w których czytający ma wrażenie obcowania z poezją.

To są fragmenty większej elukubracji napisanej mniej więcej w tym samym paradoksalnym stylu: im głupiej, tym mądrzej. Miejmy nadzieję, że czas zweryfikuje dyletantów, ale zanim to nastąpi, strach pomyśleć ile spustoszenia narobią w głowach adeptów. To samo zresztą jest we wszystkich dziedzinach sztuki, i nie tylko.

Pociesmy się, o ile to jakaś pociecha, że tak bywało zawsze; że czas uważany za najsprawiedliwszego „selekcjonera” działa niekiedy bardzo powoli i opieszale.

Rozmawialiśmy niedawno z Anią Musz o poezji, i padło nazwisko Stanisława Misakowskiego. To znakomity poeta, nieżyjący już od kilkunastu lat. Zaczęliśmy się zastanawiać, kto tego poetę jeszcze pamięta. Nie funkcjonuje w obiegu czytelnictwem, nie wszedł także do kanonu literatury, a przecież był to twórca głośny, ogólnie poważany, świetny profesjonalista. Mógłby do dziś wyznaczać pewne poetyckie tropy. I co? Nikt go nie zna. Podobnie jak najmłodsze pokolenie, i to niby piszących, nie zna Grochowiaka, Śliwonika, Haraśmowicza, Śliwiaka, Gąsiorowskiego, Jerzyny czy Żernickiego, że wymienię dla przykładu zaledwie kilka nazwisk. A przecież to kawał znaczącej i nie dającej się wykreślić literatury ostatniego półwiecza.

Jednak to nic nowego. Mariusz Urbanek w biograficznej książce „Broniewski. Miłość, wódka, polityka”, przytacza anegdotę o tym, jak kierownik klubu, w którym odbyć się miało spotkanie autorskie, zapowiadał poetę: „Witam wszystkich, którzy przybyli na spotkanie z wielkim polskim poetą, znanym nam wszystkim, którego książki ma każdy w domu... – zaczął z emfazą, a potem zwrócił się do Broniewskiego: – Towarzyszu, jak wasze nazwisko?”

To czasy dawne, ale sytuacja jakże współczesna. W pewnym dyletanckim radyku często prowadzący nie zna nazwiska swojego rozmówcy. Dziennikarze prasowi zaś myślą nazwy ulic, bo choć pracują w dziale miejskim, to miasta nie znają, bo dopiero przyjechali z prowincji. Tu nie o to chodzi, skąd przyjechali, ale o to, że nie zadali sobie trudu, by miasto poznać, a przynajmniej sprawdzić, czy nie są w błędzie.

W czasie tegorocznej edycji Festiwalu „Międzynarodowa Galicyjska Jesień Literacka”, od wielu lat organizowanego z powodzeniem przez Andrzeja Grabowskiego, pojechałem na spotkanie autorskie do Kolbuszowej, a stamtąd do pobliskiej Weryni. I tam miłe zaskoczenie. Dostałem oto ponad stustronicowy tom wierszy „Miasto motyli” Patrycji Gielarowskiej, uczennicy Zespołu Szkół Agrotechniczno-Ekonomicznych w tejże Weryni. Co za wrażliwość, wycucie słowa, wyobraźnia, poetycka, intuicja! To są

wiersze, które przykuwają uwagę, zaskakują, w przeciwieństwie do napuszonych utworów wielu starych przyków płci obojga. Widać w tym autentyczny talent. Jak się on rozwinię, trudno dziś wyrokować, ale już teraz można stwierdzić, że autorka jest na najlepszej drodze. Polecam Pani tę książkę.

Będąc w Krakowie na zaproszenie Beaty Anny Szymoń dostałem tom wierszy od Pawła Kękusia „Gasząc łęki świata...” ze znamiennej i jakże aktualną dedykacją: „W świecie, który z taką lekkością dzieli, jest coś, co nas łączy. Tym czymś jest poezja”. To prawda, choć niestety trudno żądać, by każdy przeciętny zjadacz chleba oraz innych produktów w niej właśnie upatrywał ocalenia. Kękuś pisze bardzo dobrze, autentyczne wiersze, wyrastające z własnych, dramatycznych doświadczeń poety.

Byliśmy z Anią w Klubie „Proza” we Wrocławskim Domu Literatury na spotkaniu z poetami jeleniogórskimi, które to spotkanie prowadził Karol Maliszewski. Spotkanie dosyć kameralne, ale może owa kameralność wpłynęła na doskonały klimat. My w Warszawie, Wrocławiu czy Krakowie nie znamy (jeszcze!) wielu godnych uwagi twórców z mniejszych ośrodków. A więc przypomnijmy: Wiesława Siemaszko-Zielińska, Jan Owczarek, Jan Hinc, Lesław Wolak (od którego dostałem oryginalny tom wierszy „Ślady i cienie”), Zofia Prysłowska, Elżbieta Śnieżkowska-Bielak. Środowisko lubańskie prezentowała Krystyna Sławińska. Muzycznie towarzyszyła poetom Beata Sielicka-Kowalska.

Spotkanie to miało dla mnie szczególnie znaczenie. Po niemal czterdziestu latach zobaczyliśmy się z Elżbietą Śnieżkowską-Bielak, dziś ciekawą poetką liryczną, autorką wielu tomów poezji, a także prozy. To ciekawa i przebogata twórczość. Przed laty poznaaliśmy się w Jeleniej Górze. Ja – autor „Wibracji” i „Wysokiego lata”, ona – przed debiutem. Miło tak się spotkać, ale trudno się oprzeć poczuciu przemijania i ciężarowi rozmaitych doświadczeń i perypetii.

Tyle słów na ten Nowy Rok. Może gorzkich, ale często gorzka ta bywa osładzana, kiedy spotyka się ludzi wrażliwych na piękno i tak zwane wartości wyższe. I właśnie spotkania podobnych osób i dzięki nim optymistycznego spojrzenia na rzeczywistość życząc Pani w zaczynającym się roku 2018!

Stefan Jurkowski



Rozmyślania



Krótkie résumé

W świecie zdominowanym przez elektroniczne środki masowego przekazu, rozmowa z drugim człowiekiem staje się jedną z najbardziej pożądanych potrzeb. Goniwa za nowoczesnością i pieniędzmi okazuje się mało ważna dla coraz większego grona odbiorów kultury. Pewnie, że bez pieniędzy trudno żyć, ale nie mogą być one wartością samą w sobie... Dlatego wyjazdy na ważne literackie przedsięwzięcia pozwalają spotykać ludzi, którzy jeszcze chcą normalnie rozmawiać, a organizatorom jeszcze chce się te festiwale robić... Chociaż jest im coraz trudniej...

Andrzej Dębowski

W ubiegłym roku pojechałem na trzy literackie zjazdy. W maju byłem w Limanowej na „Poetyckich Ogrodach”, a w listopadzie w Poznaniu na Międzynarodowym Listopadzie Poetyckim i w Polanicy Zdroju na Międzynarodowym Festiwalu Poezji „Poeci bez granic”.

Każdy z tych festiwali ma już swoją rangę i wieloletni staż, każdy z tych festiwali ma swoją indywidualną, niepowtarzalną atmosferę. A tworzą ją nie tylko sami uczestnicy, ale przede wszystkim organizatorzy-zapaleni, którym jeszcze się chce starać o pieniądze, załatwiać z urzędnikami tę całą „papierologię”, niezbędną do otrzymania jakiegokolwiek dotacji. A jest przecież coraz gorzej i dobrze o tym wszyscy wiemy. To nie są dobre czasy dla kultury, szczególnie tej elitarniej, gdzie coraz rzadziej można spotkać ludzi czytających publicznie wiersze, za to nie brakuje „artystów” typu Zenek Martyniuk inkasujących po trzydzieści i więcej tysięcy złotych za jeden koncert.

W Limanowej festiwal „Poetyckie Ogrody” wymyślił przed laty poeta i wielki miłośnik gór Marek J. Stępień. Nie wystarczyło mu już tylko samo pisanie, więc postanowił zrobić coś dla lokalnej społeczności. Początkowo wyglądało to wszystko jak najlepiej, ale z czasem drogi Stępnia i miejscowych władz rozeszły się. Poeta nie spoczął jednak na laurach i w następnych latach

zapraszał poetów nie tylko z regionu, ale z całej Polski. Tak samo było ostatnio. Bo „Poetyckie Ogrody”, to nie tylko literackie spotkania. To także poznanie miejscowej kultury, zwyczajów, wycieczki. Nie jest łatwo organizować cokolwiek, nie mając materialnego wsparcia lokalnych władz, ale Stępień nie poddaje się, znalazł kilku ludzi, którym bliska jest literatura – współpracuje ze szkołą w Laskowej, biblioteką w Tymbarku i tak udaje mu się wszystko razem „spinać”. Marek Stępień ma jeszcze jedno szczęście, spotkał na swojej drodze Marka Dudka – taternika, autora filmów o tematyce górskiej, a przede wszystkim wyjątkowego i wspaniałego człowieka. To on prowadzi teraz festiwalowe spotkania, jest prawdziwym przyjacielem poetów, taką bratnią duszą. Myślę, że ten duet zrobi jeszcze wiele wspaniałych festiwali.



Fot. Marek Dudek

Spotkanie poetów w Gimnazjum w Laskowej

Inny charakter ma poznański Listopad Poetycki. To impreza duża, prestiżowa, wiekowa, o międzynarodowym zasięgu. Dotychczasowe edycje festiwalu pokazały, jak ważne i potrzebne to wydarzenie na kulturalnej mapie Polski. A wszystko to dzieje się głównie dzięki ludziom, dla których poezja, literatura, zajmują poczesne miejsce w ich codziennej, artystycznej wędrówce. To przecież nie tak dawno zmarły Ryszard Danecki był jednym z tych, co zapoczątkowali ten festiwal, później, przez wiele, wiele lat prowadził go Nikos Chadzinikolau, a po nim Zbigniew Gordziej, a teraz Paweł Kuszczynski, wspólnie z Anną Andrych i Jerzym Beniaminem Zimnym. To dzięki nim i ludziom z poznańskiego oddziału Związku Literatów Polskich kilkudziesięciu pisarzy z Polski i zagranicy mogą się corocznie spotykać na swoim święcie.

Poznański festiwal poezji to impreza poważna, w którą zaangażowanych jest wiele czynników społecznych. Wielkopolska słynie zresztą z „dobrej roboty” i pracy organicznej. Nie na darmo zresztą poznański oddział ZLP blisko współpracuje z Towarzystwem im. Hipolita Cegielskiego. Ta wzorcowa współpraca owocuje doskonałymi efektami. Podobnie jest z Radiem Emaus, na falach którego można często usłyszeć wiersze poetów, uczestników Listopadów Poetyckich.

Takie kulturalne i artystyczne wydarzenia zaświadcza, że nasze codzienne życie staje się lepsze. Mamy czas na refleksję, żebyśmy pamiętali, że wszyscy jesteśmy zawieszani pomiędzy doświadczaniem przemijania i stawiania się. Pytanie tylko, co będzie w naszym życiu dominować?

W Polanicy Zdroju w listopadzie czuję się wspaniale. Pomimo że to kurort, to o tej porze roku ludzi jak na przysłowiowe lekarstwo; a nieliczni autochtoni snują się leniwie po sympatycznych uliczkach. Ale nasz pobyt w tym mieście, to przecież nie wczasowanie, tylko udział dużym, kulturalnym przedsięwzięciu, Międzynarodowym Festiwalu Poezji „Poeci bez granic”, którego ojcem jest Andrzej Bartyński (obecnie prezes honorowy Dolnośląskiego Oddziału ZLP), który wspólnie z Zbigniewem Puchniakiem wymyślili ten festiwal czternaście lat temu.

Dzisiaj można powiedzieć, że przez te wszystkie lata stworzono coś kształt rodzinnego zjazdu przyjaciół. Nigdzie się nie trzeba spieszyć, donikąd pędzić. Wszystko zapięte jest na ostatni guzik. Żadnych niedociągnięć. Od kilku lat to zasługa Kazimierza Burnata, obecnego prezesa zarządu oddziału. Burnat trzyma wszystko twarzą ręką i dowodzi niczym generałem na polu literackiej bitwy... Wiem doskonale, ile pracy i czasu trzeba poświęcić, żeby zorganizować tak duże przedsięwzięcie kulturalne, dlatego chylę głowę, przez nim, bo wiem, że bez takich „dowódców” nic nie udałoby się zrobić... A przecież trzeba wiedzieć, że polanicki festiwal, to liczne spotkania w szkołach regionu, wieczory poetyckie, warsztaty, panele naukowe, koncerty.

W ogóle zauważyłem, że w całym regionie, nikt nikogo nie pogania, życie płynie sobie spokojnym strumieniem, ale bardzo przemyślanym. Nie ma tego wielkomięskiego gwaru, pędu do nadmiernego gromadzenia materialnych „aspektów” życia. Bardzo mi to odpowiada, wciaga, powoduje zadumę i nastraja do przemyśleń...

Takie miejsca przewartościowują nasze życie, nasze zachowania, nasze poglądy na świat. One powodują, że stajemy się spokojniejsi, a przez to lepsi i bardziej odpowiedzialni. Świat bez nerwowości jest lepszy. On nas umacnia w naszych działaniach. On nam pozwala lepiej żyć. Staje się po części nami...

A bycie poetą? No, cóż. Pomaga mi lepiej zrozumieć intymne zasady, na jakich działają i same wiersze, i sposób, w jaki funkcjonują poeci. Poezja pomaga żyć, bo ma ona zawsze jakieś swoje źródło... Tworzy go życie. U jednych jest to głębokość widzenia i rozumienia, zdolność przeżywania, umiejętności odczuwania cierpienia. Najczęściej – niestety – źródłem jest cierpienie. U wielu z wiekiem źródło poezji wysycha.



Fot. Jaga Walter

Uczestnicy polanickiego festiwalu

Imprezy, o których powyżej mówiłem charakteryzują się doskonałą ich organizacją. To jeden z najważniejszych elementów, gwarantujących odpowiedni poziom. Dzisiaj, w świecie zdominowanym przez kolorowe obrazki, nie można sobie już pozwolić na organizacyjne i artystyczne fuszerki. Tym bardziej, kiedy chodzi o kulturę wysoką. Kiedy rządzi nami technika, kiedy coraz częściej stajemy się niewolnikami telewizyjnych pilotów po prostu nie stać nas na to, nie stać nas na utratę tych odbiorów, w których tli się jeszcze ostatnia iskierka normalności. A wszystko to dzieje się dzięki ogromnej wierze tych, że warto coś robić dla innych.

Wiara nie zaprzecza przemijania. Bo wiara w ogóle rzeczywistości nie zaprzecza. Wiara dostrzega trud i smutek naszej doli. Ale wiara przekracza tę rzeczywistość. Pokazuje, że dzięki niej nasze życie staje się o wiele bardziej wartościowsze, wspanialsze, szersze i pełne...

Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (22)

(fragmenty)



Świat według Józefa Dzioby

Przed laty mój mistrz, a potem przyjaciel, wielki, choć kontrowersyjny krytyk Artur Sandauer, który miał za złe powojennym pokoleniom, że są niedouczone i nie znają języków obcych, już nie mówiąc o znajomości języków starożytnych: łaciny, greki czy hebrajskiego, zgadzał się równocześnie ze mną, że gwarowy język chłopski bywa o wiele konkretniejszy, dosadniejszy, ba, może mocniej oddziaływać na wyobraźnię językową poetów niż język inteligentki.

„Język chłopca – mówił – może być, choć nie musi, bogatszy od nadużywającego słów obcego pochodzenia inteligenta, który tylko wychował się w kulturze miejskiej. Po prostu jest bardziej giętki. I jeszcze jedna sprawa: chłop nie czuje się sługą języka, lecz jego panem. Tutaj obowiązuje zasada: »Wolność Tomku w swoim domku«. Chłop nie jest skrepowany poprawnością językową, tak jak przysłowie ludowe nie jest skrepowane zasadą poprawności”...

Niestety, nie ma już na tym świecie poligloty Sandauera (minęło właśnie 20 lat od jego śmierci), który władał jedenastoma językami, więc w jego ustach taka pochwała swojskości i samorodności językowej miała specjalną wagę. ... Ale nie ma też już prawie żywego gwarowego języka, utrzymującego się jeszcze tylko w enklawach Podhala, może na Kaszubach, Białostocczyźnie czy Śląsku; bo środki masowego „przykazu” doprowadziły do zunifikowania polszczyzny, wprowadzenia drylu językowego, niekiedy z silnym nalotem angielszczyzny i „kuchennej łaciny” (vide film według scenariusza Maśłowskiej „Wojna polsko-ruska”; ale to już inne zagadnienie)...

Nie ma?

A właśnie... jest! Ostatnio jędrny, plastyyczny chłopski język został wskrzeszony do życia w tomie wierszy „Świat według Józefa Dzioby”, napisanym przez profesora uniwersytetu w Idaho, Leszka Czuchajowskiego.

Tenże uczony mąż, rodowity krakowski mieszczuch, postanowił spłacić dług teściowi, prostemu chłopu ze wsi Gruszów pod Krakowem, i wydał w LSW zbiór wierszy, w którym ocala jego świat od zapomnienia. Zakochując się w jego córce Zuzi i przyjmując ją za żonę, zadurzył się równocześnie w dosadnej, barwnej polszczyźnie gwarowej prostego człowieka, „co miał swój rozum” i umiał z humorem, nie zawsze zamierzonym, opowiadać o swym długim życiu. Za każdym razem, gdy Leszek przylatywał z Zuzią i dziećmi na wakacje z Ameryki do Gruszowa, nadstawiał bacznie uszu na te snute przez teścia-słowiarza historyjki i coś sobie w zeszycie notował... Właśnie z owych długich rozmów wynikał tom wierszy „Świat według Józefa Dzioby”, pokazujący losy chłopca na tle przedwojennej biedy, służby w wojsku, okupacji, PRL-owskiej biurokracji i niewdzięcznej harówki na tytoniowym i kukurydzianym poletku.

Ale ten tom to także biały kruk wśród współczesnych zbiorów, których autorzy prawie nigdy nie posługują się stylizacją, i to dodajmy, stylizacją tak udaną, tak chwytającą za serce i urokliwą.

Światowiec, mieszczuch, naukowiec oddał przez te wiersze hołd i ocalił od zapomnienia świat nieskażonego chłopskiego „prawdziwka”, reprezentującego to, co zaściankowe, ale do bólu szczere. W dodatku aspekt socjologiczny nie kłóci się z wartościami artystycznymi: Czuchajowski to poeta obdarzony poczuciem humoru, wrażliwością na najdrobniejsze odcienie znaczeniowe neologizmów teścia; wyłapuje je, podkreśla, przekreśla niczym ongiś Miron Białoszewski, nadając im specjalne znaczenie w tytułach wierszy czy sytuując w odpowiednich kontekstach:

Do Raju

Mówiła mi opiekunka
Co ją dla mnie Zuzia i Leszek
Z Ameryki wynajęli:
„Panie Józiu, ma pan 87 lat,
Na motorze nie wolno już
Panu jeździć, ja wiem, że pan
Był kiedyś chłop piękny jak dąb,
Ale teraz to już co innego”,
a ja jej na to: „idźże pani, nie pleć,
różnie los potrzebuje,
pani ma smak, to se zje,
a mój ojciec był w dworze gajowym,
z dziedzicem jeździli do gajowczanki
w drugiej wsi, teraz inne czasy
to ja motorem jeżdżę, bo mnie tutaj
sąsiedzi lubią, jak psy dziada
w ciasnej ulicy, to jak se
do siostry zajadę, przynajmniej
się nagadam i wtedy wiem,
że nie czas mi jeszcze zabierać się
do rajów”.

Myśliwski, przepowiadając w powieści „Kamień na kamieniu” śmierć tradycyjnej wsi i etosu chłopskiego, zastrzegł, gdy o to pytałem w wywiadzie z nim na początku lat 80., że podobnie jak kultura antyczna nie umarła wraz ze śmiercią Cesarstwa Rzymskiego czy Grecji, tak kultura chłopska może odegrać

jeszcze pośmiertnie jakąś kulturotwórczą rolę: „Trudno sobie wyobrazić, jakie jeszcze mogą powstać książki, jak zapładniający wpływ może ta kultura wyrzucić!.. „Bo życie kultury mierzy się innymi miarami niż życie klasy, która tę kulturę wydała!”. Myśliwski wręcz posuwał się do stwierdzenia, że „energia kulturotwórcza zaczyna tryskać w pełni, kiedy klasa, która tę kulturę wydała, umiera”. optymizm wybitnego prozaika wydał mi się już wtedy nieco przesadzony (dziś tym bardziej, gdy obserwujemy w naszym kraju odwrót od rodzimych korzeni i źródeł); niemniej zbiór Leszka Czuchajowskiego wydaje się żywym dowodem, że coś na rzeczy, z tego, co Myśliwski mówił, jest i że przynajmniej w jakiejś małej części jego słowa się sprawdzają...

W Borach Tucholskich u Lesińskiego

Dziewięć dni w Borach Tucholskich w rajskim domku i zakątku u Krzyśka Lesińskiego, gdzie budził nas kos; sosny i modrzewie szumiały nad głowami pieśni o wieczności, a bobry piłowały nocami zawzięcie olchy na rzece Wda. Na tej rzece przepływającej prawie prosto przez środek czterohektarowego zalesionego gospodarstwa pojawiają się i znikają kajakarze jak cienie z dalekiego świata.

Trudno się dziwić, że gospodarz lubi powtarzać: – W Wojtalu tak pięknie, że chciałoby się tu umrzeć, a z drugiej strony tak pięknie, że szkoda byłoby tu w ogóle umierać. Nazwy okolicznych miejscowości: Wojtał, Czersk (miałem spotkanie autorskie), Złe Mięso, Szatałmaje, Białe Panieńskie (przy szosie stoją z telefonami komórkowymi nimfy leśne – prostytutki), Sworne Gacie, Czarna Woda (gdzie w karczmie u rzeźbiarza Ostoi jedliśmy pyszne, wyciągnięte prosto z jeziora pstragi) ...

Myśli nienowe spisane po spotkaniu z Irkiem K.

Postęp ma zawsze dwa ostrza jak nóż, którym można krajać chleb i ranić bliźniego. Służy medycynie, ulepszeniu życia człowieka, czynieniu go półbogiem i... produkowaniu bez opamiętania coraz wyższych Himalajów śmieci, zanieczyszczeń oraz coraz doskonalszej broni masowych mordów.

Góry śmieci, w których tonie Nicea, góry złomu, opon, niezutilizowanych części na pustyniach Nevady i Arizony. Śmieci – odchody Postępu... Góry śmieci, z którymi nie umiemy sobie poradzić...

Piekło było wymysłem naiwnych teologów. Jak może istnieć Wszechmiłosierny Bóg, który za występki krótkiego jak mgnienie oka życia Człowieka, w dodatku zaprojektowanego przez siebie – byłby w stanie karać go Wiecznym, Nieskończonym Potępieniem. Przecież to nieboskie... już nie mówiąc, że nieludzkie.

cdn.

Chichiku, czyli haiku po polsku

Haiku – to typowa japońska sztuka literacka, charakteryzująca się taką budową wersyfikacyjną, że jako całość przybiera formę wewnętrznie sprzecznych stwierdzeń, dających w sumie przewrotną wizję świata. W oryginale pikanterii tym krótkim formom literackim, przypominającym poniekąd europejskie gnomy, czyli krótkie zbitki myślowe o charakterze porzekadeł, specyficzny zapis w alfabecie japońskim, który można czytać z powodzeniem od przodu i od tyłu. Jeśli gnomy komunikują czytelnikowi pewne fundamentalne prawdy o świecie, to haiku w duchu przewrotnym jakby ukazuje ich rewersy, które również mogą takie, konkurencyjne prawdy zawierać. Formy te są z natury dowcipne, ironiczne, a ich celem jest budzenie inteligencji czytelniczej, krytycznego stosunku do siebie i świata, bo zmuszają do nieustannego o nim myślenia, ale i jego podglądania z niestandardowych perspektyw. Nie trudno zauważyć, że pisanie haiku stanowi inteligentną zabawę ze słowami, ich zakresami znaczeń, utrzymującą dystans między słownym obrazem świata budowanym w jego tradycyjnym dyskursie kulturowym. Takie właśnie trudu podjął się poeta z Częstochowy – Ryszard „Sidor” Sidorkiewicz – publikując tomik tego typu utworów nazywając je z przekąsem „Chichiku Sidor-Sana”, dodając, że „zebrał je i z oryginału przełożył Ryszard „Sidor” Sidorkiewicz”. Ten zabieg w strukturze tytułu tego tomiku wydaje się podkreślać patent literacki autora w kwestii tworzenia tego typu utworów na gruncie rodzimej kultury, ale i innych kultur ościennych, które pomagały mu stworzyć specyficzne wersyfikacje oraz dyskurs poetycki, ukazujące niejednokrotnie polskość Polaków w „krzywym zwierciadle”, w którym demaskuje zasadniczy rozdzźwięk między deklaracjami i pretensjami a rzeczywistością działania naszej nacji.

Za swoich inspiratorów autor wskazuje m.in. takie pozycje literackie jak: *Akademii pana Kleksa* J. Brzechwy, *Baśnie braci Grim*, *Baśnie Ch. Perraulta i H. Ch. Andersena*, *Czarnoksiężnika z Krainy Oz* L.F. Bauma, *Księgę tysiąca i jednej nocy*, *Polskie baśnie, podania i legendy*, *Baśnie rosyjskie, Radzieckie i polskie filmy animowane*, *Kubusia Puchatka* A.A. Milne, czy *Mitologię grecką* – J. Parandowskiego. Cała książka składa się z trzech części oraz utworów zamieszczonych „Tytułem wstępu” i „Tytułem zakończenia”. Aby lepiej zrozumieć intencje artystyczne autora warto przytoczyć jego wstępne wyjaśnienia, w których czytamy: „Haiku – japońska forma poetycka / reprezentowana dla okresu Edo / *Wikipedia* // Chichiku – quasi-japońska forma parapoetycka reprezentowana dla okresu II Japonii w III RP / *Innappedia*”. Tomik otwiera utwór pt. *Łóżko bajek pełne albo Klechdy domowe*, w którym to m.in. czytamy: „stoliczek nakrył się nogami / w blacie ma nasze głodne czary // rybka już nie po-

maga w biedzie / jest wymoczonym postnym śledziem / i nic po drugiej stronie lustra / nie ma bo wisi ramka pusta (...) // a my uparcie „hokus-pokus” / klepiemy jak pacierza słowa // bo w świecie pełnym rozczarowań / już nie umiemy nie czarować.

W pierwszej części – „Po pierwsze” o podtytułach „skoro mowa jest srebrem / a milczenie złotem / chichiku jest czkawką jubilera”, poeta zamieszcza kolejne utwory ukazujące nasze, wewnętrznie sprzeczne wizje świata. Tu pojawiają się mini-utwory, z których kilka zacytujemy, np. *I Rosjanie pokochali Kosmos / od razu wysłali mu walentynkę / Terieszkową. II – Nie kucaj za krzakami Czerwony Kapturku / bo złapiesz wilka / żartowała rubasznie babcia szczerząc kły, (...) V Upokorzony przez dziecko nagi król / zemiścił się na smarkaczach / i zdelegalizował pampersy, (...) VII Nie mogąc na złość Putino-wi zjeść jabłka ze złota / Parys wręczył owoc Afrodycie / I tak to przez Władimira Władimiro-wicza upadła Troja, (...) IX Kogut Twardowskiego mógł frunąć na Marsa / ale nie chciał sobie robić kosmicznych jaj / z Gagarina z Hermaszewskiego i z NASA, (...) XIII Wanda nie chciała Niemca z obawy / że ów pokaże mistrzowską klasę / dopiero w doliczonym czasie, (...) XVII Żwirek spał na mchu / Muchomorek w paprociach / więc skąd te bajki na ich temat, (...) Strongman Herkules / zakręcił maczugą takiego młynka / że ta wylądowała aż w Ojcowie” (...) XXVI Zazdrośny o rosnącą popularność Krecika / Rumcajs spłodził Cypiska / by robił mu w TV krecią robotę, (...) Szeherazada tak długo wciskała mężowi kit / że gdy nastąpiła pierwsza noc / gotów już był uwierzyć w każdą bajkę.*

Nie trudno w tych utworach zauważyć ironiczne anonsy na temat życia politycznego w III RP, ale i początków IV RP, kiedy to nasze wybujałe ambicje polityczne ciągały kraj do doświadczenia przysłowiowego bruku pomieszanego z „zaprawą absurdów” codzienności.

W drugiej części – „Po drugie” o podtytułach: *Chichiku / klasyczna baśń / i współczesność bez klasy* Sidorkiewicz zamieścił kolejny cykl mini-utworów, z których kilka zacytujemy: *XXX Po Środzie Popiel(cy)owej / zaczęto konstruować pułapki na myszy / i uznano to za początek Wielkiego Post(ę)u, (...) XXXIII Pan z e-papierosem / środkowym palcem wskazał niebo / dziewczynce z zapatkami, (...) XXXIV Uczestnicy Parodii Równości zażądali / zmiany tytułu baśni z „Piękna i Bestia” / na „Piękna i Piękna Inaczej, (...) XXXVI Konik Garbusek / w warunkach kryzysu / robi w zoo za wielbłąda, (...) XXXIX Bracia wybrali swoje przeznaczenie / Lech na zachód Czech na południe / a Rus na wojnę poszedł, (...) XLII Jak zapewnia kaczor Donald / pojęcie globalnej makdonaldyzacji / jest wymysłem prowincjonalnych socjologów, (...) XLIV Czy zrodzona z ziarenka Calineczka / jest bliżej in vitro / czy raczej prawa naturalnego, (...) XLIX Korzystając z dotacji sierotka Marysia / zbudowała sięc zarodowych gęsih ferm / w których krasnoludki robią za ogrodowe krasnale, (...) L Rodzice już nie straszą dzieci babą Jagą / teraz dzieci Lady Yagą / straszą rodziców, (...) LVIII Nie mogąc wyleczyć zwierząt w ludziach / doktor Dolittle poświęcił się leczeniu / zwie-*

rząt w ludziach.

I znów autor dał tu popis intelektualnej ironii na temat faktów społecznych, które i dzisiaj rządzą z przytupem naszą zbiorową świadomością, przysłaniając istotne fakty o prawdziwej kondycji naszego życia codziennego.

Trzecia część tego tomiku – „Po trzecie” z podtytułach: *Chichiku / jeden wstrzymał Słońce dwóch Księżyc / reszta uważa się za gwiazdy* – to kolejny cykl mini-wierszyków demontujących uprawiane przez nas „działki przyzagrodowe” świadomości rodzimej. Znalazły się tu więc kolejne chichiku, z których kilka zacytujemy: *LIX – Polacy nic się nie stało – zachichotał Syzyf / na wieść o kolejnej reformie / systemu oświaty nad Wisłą, (...) LXI Jeden reżyser tak pokochał pewnego daniela z jeleniowatych / że ten zagrał u niego wszystkie role / w ekranizacjach polskich baśni wg Sienkiewicza, (...) LXIII Z powodu kryzysu demograficzno-migracyjnego / zdecydowano się przekształcić Akademię pana Kleksa / w Uniwersytet Trzeciego Wieku, LXIV Syrenkę z palmą w dłoni / i tęczę zamiast rybiego ogona / – sen o Warszawie, (...) LXVI Śpiący Rycerze w końcu wyleźli spod Giewontu / bo mają być teraz / polską tarczą antynuklearną, (...) LXXI Bolek i Lolek podzielili domowy księgozbiór / „W pustyni” wziął pierwszy, „w puszczy” drugi / a „i” sprzedali w skupie makulatury, (...) LXII Po legendzie Okrąglego Stołu / został nam tylko przerdzawiała rocznica / i ani śladu rycerzy, (...) LXXIII Janosik skuszony koniunkturą / postanowił porabować sobie legalnie / i założył z kamratami SKOK Zbójnik (...)*

I w tej części Sidorkiewicz precyzyjnie ukazał naszą zmystyfikowaną świadomość narodową, tworzoną w duchu bajek dla „infantylnych dorosłych”, notorycznie wierzących w cuda, w świetle której rzeczywistość aż skrzeczy.

Na zakończenie tego tomiku, ale i obszernego omówienia jego treści, chcemy zwrócić uwagę na zakończenie zamieszczone przez autora – „Tytułem zakończenia” i pt. „Przypowieść o diable i poetach”, w którym czytamy: *kiedy już stworzył Bóg truskawki / jaszczurkę szarą i człowieka / pobłogosławił i odpoczął / a diabeł tylko na to czekał // załatawił nam eksmisję z rajy / uwikłał nas w zabójstwo pierwsze / a po aferze z wieżą Babel / nauczył ludzi pisać wiersze // (...) ale i tego diabłu mało / (natura taka upierdliwa) / posiał w nas ziarno dylematu / kto jest poetą a kto bywa? // I oto sądny dzień nastąpił / Egiptu przekleństw i rozpaczy / będąc tępią bywających / i tych co są choć są inaczej // złe espepy ciemnogrody / bruliony noble jasne góry / a diabeł szczerząc czaracie zęby / otworzył skup makulatur.*

Na pytanie: czy czytać, z całą odpowiedzialnością odpowiadamy: czytać, bo warto, by wyrobić sobie choćby dystans do siebie, własnej twórczości i zmystyfikowanego naszego świata powszedniego.

prof. Ignacy S. Fiut

Ryszard „Sidor” Sidorkiewicz, *Chichiku Sidor-Sana*. Zebrał i z oryginału przełożył: Ryszard „Sidor” Sidorkiewicz”. Wydawca: Janowski Klub Literacki, Gminna Biblioteka Publiczna w Janowie, Janów 2016, s. 54.

Dysonanse Marty Pawlickiej- Włóki

Niedawno nakładem Nauczycielskiego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego NASTOK w Piotrkowie Trybunalskim ukazał się kolejny zbiorek poetycki **Marty Pawlickiej-Włóki** zatytułowany *Dysonanse*. Jego autorka debiutowała prozą w pokłosiu pokonkursowym w roku w roku 1999, a następnie wydała kilka tomików poetyckich, opowiadania i utwory dla dzieci. Ten zbiór jest siódmym w jej dorobku. Poetka podzieliła go na dwie części. W pierwszej pomieściła wiersze białe, w drugiej zaś obok tej formy zapisu znajdziemy opowiadanie, haiku, sonety i inne teksty cechujące się klasycznym zapisem.

Wiersze z pierwszej części *Dysonansów* przypominają delikatne pastele, w których autorka z *plót na sztaludze / wydobywa / tęczę dziecięcych spojrzeń, / w których kolory śmieją się kwiatami* („Akt malarski”, s. 8). Przywołują *...lato / które przeczło biały sen / i wtuliło się ciszę* („Obraz”, s. 11).

Dużo w tych obrazach melancholii i przemijania, rozmaitych aspektów cykliczności pojawiania się i znikania pór roku, ciągłej przemiany z dziecka w młodą dziewczynę, a następnie dojrzałą kobietę. Poetka nie buntuje się, a wręcz z pokorą przyjmuje do wiadomości fakt, że *zmęczona wspinaczką / na strome schody / przychodni / ciężko oddychają / opiera się o ścianę* („Dwie niemłode”, s. 13). Bardziej przeraża ją samotność, w której chwilach: *Chce się ukryć / przed sobą /.../ gdy w każdą noc / ponurą / krzyk ciszą się podeprze* („Samotność”, s. 19).

Marta Pawlicka-Włóka aż do emerytury była nauczycielką wychowania muzycznego, stąd nie może dziwić, iż w jej wierszach znajdziemy bardzo wiele fragmentów odwołujących się właśnie do muzyki i stanowiących doskonałe dopełnienie elementów plastycznych. Jej wiersze są pełne rozmaitych dźwięków: *Nadbrzeżne fale / jak dźwięk harfy / muskają / stopy starego bosmana* („Bosman i albatros”, s. 14), *Melodia pola / rozpina dach* a sama poetka: *wchodzę / na ścieżkę pięciolnii* („Dysonans”, s. 15).

Teksty z drugiej części zbioru – jak wspominałem na wstępie – różnią się od pozostałych przede wszystkim pod względem formalnym. Owszem, i tu znajdziemy wiersze białe, ale występujące tu znaczącej w mniejszości, przeważają bowiem teksty z wyraźnie zaznaczoną linią rytmiczną, z zastosowaniem różnych form rymów aż po klasyczną formę sonetu włącznie; nie brakuje w tej części również haiku, jak i krótkiego opowiadania. Wydaje mi się, że autorka *Dysonansów* zamieszczając je wszystkie w jednym zbiorze chciała w ten sposób z jednej strony zasignalizować wielotorowość swoich literackich

poszukiwań, a z drugiej strony postawić pytanie, czy rzeczywiście użycie kilku rodzajów środków artystycznego buduje tytułowy dysonans.

Najnowsza książka Marty Pawlickiej-Włóki to ciekawy zapis jej lirycznych poszukiwań, której lekturę polecam zwłaszcza osobom szukającym poezji pełnej subtelności i wewnętrznego wyciszenia.

Tadeusz Zawadowski

Marta Pawlicka-Włóka, *Dysonanse*. Redakcja: Rafał Orlewski. Wydawca: Nauczycielskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe NASTOK, Piotrków Trybunalski 2017.

On i One czyli niezapomniana Kalina

Ale bomba! Ujawnione zostały głęboko skrywane tajemnice warszawskiego środowiska artystycznego II połowy XX wieku.

Niektóre gwiazdy teatru, filmu i estrady świecą długo po swoim odejściu w zaświaty. Z upływem czasu nie przestają fascynować, stając się legendą jeszcze za doczesnego życia i inspiracją dla badaczy i literatów. Takie życie po życiu przypadło i Kalinie Jędrusik (1930-1991). Przed kilku laty jej obszerną biografię pióra Dariusza Michalskiego wydały „Iskry” (2011). Później w sposób zawaolowany zajęła się gwiazdą i jej otoczeniem Felicja Borzyszkowska-Sękowska, w powieści *On i One*.

Pisarka i poetka dr Felicja Borzyszkowska-Sękowska zadziwia pracowitością i skalą literackich dokonań. Jest autorką prawie 30 książek – tomików poezji i współczesnych powieści, poruszających niezgłębioną materię dusz ludzkich, jako że z wykształcenia jest także psychologiem. Stworzyła Klub Kobiet Twórczych i niestrudzenie prowadziła go w stolicy przez ponad 40 lat! Przez tę, całkowicie niezależną instytucję kulturalno-społeczną, przewinęły się liczne panie obdarzone różnymi talentami: poetki, literatki, aktorki, śpiewaczki, malarki, podróżniczki, twórczynie pięknego rękodziela. Obok tak znanych dam polskiej kultury jak Beata Artemska, Maria Fołtyn czy Kalina Jędrusik, pojawiały się także debiutantki, mając okazję zaprezentować swe umiejętności i talenty.

Własne bogate doświadczenia życiowe i wyostrzony zmysł obserwacji, ów słuch literacki sprawiły, że Jej utwory czyta się z zapartym tchem, nie tylko śledząc fabułę, ale i meandry myśli i uczu. Autorka rozumie ludzi z ich wadami i kompleksami, uwikłanych w niecodzienne sytuacje, wymykające się często stereotypom. W tle zawsze dostrzec można kapitalny obraz naszej współczesnej rzeczywistości, kapitalny dla przy-

szłych badaczy przemian obyczajowych.

Kolejna powieść FBS jest różna od poprzednich, aczkolwiek jest to znów powieść z kluczem. Zawiera nie tylko opowieści o znanych i mniej znanych ludziach; zaczyna się od poezji, Autorka uprawia też zanikającą już sztukę epistolarną, bo przez list do jednej z największych polskich aktorek wprowadza Czytelnika w piękny świat teatru, filmu, estrady, a także w ogromnie skomplikowane życie osobiste bohaterów. W tle dostrzec też można donosicieli i cały system oplatania artystów siecią zależności di łaski władzy.

Obok osób fikcyjnych występują tu osobistości znane i mniej znane, niekiedy nawet pod własnymi nazwiskami. Kłębią się subtelne uczucia i wielkie namiętności. Dramatyczne sytuacje, zaskakujące zwroty akcji, chęć zachowania choćby najmniejszej sfery wolności, trudne wybory – to wszystko barwnie zostało przedstawione w najnowszej powieści FBS. To wnikliwa opowieść o wielkiej miłości i próbie pozostania sobą, osadzona w szarym i ciasnym światku PRL-owskiej elity. Barwna osobowość głównej bohaterki, wtłoczona w tę rzeczywistość niczym rajski ptak do zbyt ciasnej klatki, zmagająca się z tradycyjną mentalnością, schematami moralnymi, konwenansami nie przystającymi do czasu wielkiego przełomu. Jak bohaterka z nich wyjdzie, jaką cenę zapłaci – pozostanie zagadką do czasu zakończenia lektury tej książki. Jest ona próbą połączenia klasycznej formy noweli, opowieści utkanej z faktów i iluzji, z realistyczną scenerią i chronologią wydarzeń, znanych Autorce z wnikliwej obserwacji elity artystycznej kraju.

Właściwie w sposób wielce zawaolowany, wprowadza nas w świat, w życie codzienne jednego z najwybitniejszych, o którym – jak okazuje się – nie wszystko wiedzieliśmy, lub wiedzieliśmy tylko cząstkowo, co sprawiło, że zarówno on jak i jego żona byli oceniani zgoła nieadekwatnie do rzeczywistości. A kiedy do akcji wkracza córka pisarza z pierwszego małżeństwa... sprawy się mocno skomplikują.

Autorka, psycholog i pedagog, w sposób wielce profesjonalny rozprawia się ze złem powołując do życia dodatkowe bohaterki, które w sposób tyleż okrutny, co prawdziwy poradzą sobie ze złą pasierbicą. Pomoże to wielce Czytelnikom nie tylko poznać prawdę, lecz również pobudzi do refleksji i dociekań, jednocześnie bawiąc i dostarczając rozrywki. Swoich bohaterów FBS przedstawia z wyrozumiałością, pewną dozą życzliwości, rozgrzesza, usprawiedliwia kontrowersyjne wybory i czyny.

Akcja tej powieści rozgrywa się w jednej z najlepszych restauracji w Warszawie, będącej też stołówką literatów i miejscem, gdzie tak wiele działo się w życiu kulturalnym nie tylko stolicy. Wnikliwego Czytelnika tropiącego kamuflaż zmienionych nazwisk, zaciekawiają zapewne też sceny, w których część bohaterów występuje pod własnymi powszechnie znanymi nazwiskami. Nie odbiorę Czytelnikom przyjemności wgłębiania się w sekrety tej powieści z kluczem..., chociaż warto uchylić rąbka tajemnicy i wyjawić niektóre *personae dramatis*: Ona – to

oczywiście Kalina, choć i są tam sportretowane inne znane panie. On – to sam Stanisław Dygat a Biusthalter – to literat Stanisław Stanik. Więcej nie zdradzę, zachęcając do lektury tej barwnej opowieści.

prof. Zofia Chyra-Rolicz

Felicja Bo S ska [Felicja Borzyszkowska-Sękowska], *On i One*, LSW, Warszawa 2015, s. 210.

„Dzidzius” Antolskiego

Dawno, a raczej chyba nigdy, nie czytałam tak wstrząsającej, a zarazem wzruszającej poetyckiej książki, która nie pozwoliła mi przerwać lektury w dowolnym miejscu. Wrócić do niej potem, niekoniecznie dzisiaj, niekoniecznie jutro. Najpierw zaintrygował mnie tytuł: „Dzidzius”. Na okładce duże zdjęcie może 3-letniego chłopca o wyrazistych piwnych oczach i ciemnych włosach, w berecie z grubej, przasanej włóczki. To autor. **Zdzisław Antolski**. Urodzony w 1953 roku znany, kielecki poeta, prozaik, felietonista i krytyk literacki, którego znałam z jego ciekawych opowieści o literackich Kielcach i z innych opowiadań. Ale jako poeta był mi zupełnie obcy. I oto trzymam w rękach perełkę, świadectwo czasów, doskonale mi znanych, gdyż ja również urodziłam się w Kieleckiem i pamiętam tamte realia oraz siermiężność lat pięćdziesiątych. Ale „Dzidzius” Antolskiego to nie tylko świadectwo tamtych czasów, to bardzo osobiste intymne wyznanie, najszczersza literacka wypowiedź – spowiedź wyartykułowana głośno i bez zahamowań. O czym autor z Poniedziałka opowiada na tych osiemdziesięciu stronach lirycznego pamiętnika? I co sprawia, że napięcie emocjonalne z wiersza na wiersz wzrasta? Co takiego utkwiło w pamięci dojrzałego mężczyzny, że decyduje się prześledzić raz jeszcze skomplikowane relacje rodzinne, wyrzucić z siebie nagromadzony ból, przyznać się do licznych porażek, upokorzeń, odsłonić prawdę niekochanego przez rodziców „dzidziusia”? W wierszu „Szafa” pisze:

*Zamiast do kościoła
chowałem się w szafie
przed światem*

*sukienki mamy
i garnitury ojca
przytulały mnie*

*miętko dotykały
policzków*

*Oduziały zapachem
perfum i wody
kolońskiej*

Ojcowy kozuch dawał

zaufanie i czułość

rodzinne ciepło

Poeta cierpi z powodu braku zainteresowania ze strony rodziców. Czuje się winien swojego kalectwa, ograniczeń ruchowych, ograniczeń kontaktów z rówieśnikami. Czuje się samotny: *Byłem konikiem garbuskiem / wychudzonym Don Kichotem // Minotaurem zamkniętym / w czterech ścianach biblioteki // wyglądającym zza firanki na drogę / prowadzącą na cmentarz („Okno”).*

Podobnych w wymowie tekstów jest w tomie dużo, bo właściwie prawie każdy z nich oscyluje wokół jednego: braku miłości, czułości, wycofania i oschłości matki oraz braku zainteresowania ze strony ojca. Sześćdziesięciokilkuletni spełniony Antolski nie oskarża jednak rodziców. Jego żal nie jest buntem ani też dydaktyczną wskazówką dla współczesnych dawców życia. Jest raczej oczyszczeniem poprzez słowo.

*Mama nie żyje od dawna a ja
codziennie oczekuję jej narzekań*

*wymówek wobec ojca płaczu
omdleń i melancholii*

*chciałbym zapomnieć ale
mama jest we mnie*

(„Codziennie”)

I rzadko na kartkach książki pojawia się słowo „matka”, najczęściej „mama”. Chyba wtedy, gdy wyraźnie się oburza, jak w tytułowym, zamykającym tom, wierszu:

*Nie cierpię tego „dzidziusia”
wzmówionego we mnie przez matkę
jest jak zbyt ciasne ubranie
którego nie mogę zdjąć*

*Grzeczny chłopczyk
słucha się mamusi
i zawsze jej przytakuje*

*Nie ma swojego zdania
ani własnej woli
jest jak zdalnie
sterowany robot*

*Nie pije nie pali
nie ogląda się
za dziewczynami*

*Potulnie zjada obiadek
jaki mamusia ugotowała
nie narzeka że niedosolony
i ohydny w smaku*

*A wieczorem zjawia paciorek
i grzecznie idzie spać*

*I nawet we śnie
nie myśli o seksie*

(„Dzidzius”)

Można by przytaczać bez końca, bo każdy z tekstów zawartych w najnowszym tomie

Antolskiego zawiera pigułkę prawdy, jest szczerym wyznaniem poety z dużym dorobkiem literackim, który zdobył się na odwagę nie tylko wobec czytelników, ale wobec siebie. Autentyzm, precyzyjne obrazowanie, oszczędność środków wyrazu i mocna pointa stawia poetę w pierwszym szeregu znakomych twórców nie skrywających lęków, słabości, kompleksów, które przecież dotykają każdą ziemską istotę. I to niech będzie zachętą do lektury tej niezwykłej książki.

Irena Kaczmarczyk

Zdzisław Antolski, *Dzidzius*. Wydawnictwo Adamant, Kielce, 2017, s. 80.



Izabela Iwańczuk

Łańcuch

próbujesz odpoczywasz

nie wiesz co z wierszami
rozrywają twoje żyły jak on

życiodajna cisza

runo leśne
i czereśnie

mewy atakują gołębia

małostki miłości
jak kasza kuskus

W karym kardiganie albo jogging topie

sypiesz jaśminowy ryż płatki kwiatów
rozgadana i cicha
cafe for you

na trawniku parasol
jak rozbity samolot

karta podana w czułym geście
wpłynęła do banku miłości
nie oszczędzaj

nie żryj się
nie lej krwi

Błyski



Piszę wiersz o pustyni

O najnowszych inspiracjach w poezji Marka Piechockiego

Poezja gorzowskiego twórcy **Marka Piechockiego** zawsze mocno karmiła się inspiracjami. Autor odstaniał ich źródła albo poprzez motto, albo cytaty wplecione we własne teksty. Wypowiedzi wybranych poetów często stawały się punktem wyjścia do podjęcia dialogu z innym spojrzeniem.

Anna Dominiak

To zetknięcie wewnętrznego głosu z bodźcem z zewnątrz prowadzi nierzadko do odkrywczych konstatacji. Dzieje się tak nie tylko w najbardziej wyraźnym pod tym względem tomie „Preteksty”, ale także w zbiorze „Ad libidum” zbudowanym z wierszy wyrosłych z fascynacji muzyką, której Marek jest miłośnikiem i znawcą. Ostatni tomik pokazuje, jak bardzo jest to twórca odczytany, otwarty na rozmowę z drugim człowiekiem, ale także urodę świata. „Przedstawienia” to książka złożona z dwóch części. Pierwszą stanowi 16 datowanych wierszy, które powstawały od ostatniego dnia grudnia 2016 roku do 12 sierpnia 2017. Druga część natomiast to przejmująca elegia „Na odejście” – teksty poświęcone pamięci Matki autora, malarki Stanisławy Piechockiej, a także zamykające zbiór, prozatorskie wspomnienie Ojca.

Kilkanaście wierszy z pierwszej części zdaje się wskazywać nowe źródła inspiracji twórczej. Jakby mniejszą siłą oddziaływania miały tu teksty kultury (choć nie znikają zupełnie), a większego znaczenia nabierały spotkania i rozmowy z ludźmi. Ślady tych konfrontacji odnajdujemy w prawie każdym wierszu. Pojawiają się odległe miejsca, głównie chłodne, spokojne krajobrazy północy (irlandzkie okolice Mullaghmore, rzeka Shannon). Zasyłane w opowieściach przyjaciół krainy budzą asocjacje. Piechocki sugestywnie, choć powściągliwie szkicuje aurę tych miejsc, unikając

zbędnej emfazy, wydobywa charakterystyczne dla specyfiki przestrzeni elementy. Krainy te próbuje zwizualizować w wyobraźni:

*Shannon. Śledzę jej bieg w Google Maps. Potem
płynę nią w swoim canoe.
Tak, to sen. Jak ten o Mullaghmore z zimowym
wiatrem, latarnią, zamkiem,
górną Ben Bulben, surferami.
Uczę się tamtego kraju z Wikipedii. Szukam
ścieżek dla swojego roweru w przewodnikach*
(„Margo z I”)

Poeta chce wyjść poza obszar kojących lasów, bezpiecznych przestrzeni, które afirmował w poprzednich zbiorach. W tej części odbywa wymaginowaną podróż po świecie, który go wabi, dlatego nawiguje w wyobraźni, pokonując realnie istniejące punkty odniesienia, o których wiedzę gromadzi. Okazuje się, że aby poznać świat, niepotrzebny nam bilet lotniczy, wystarczy wyciążyć słuch i wzrok, wyostrzyć zmysł wyobraźni, uważnie wsłuchać się w zasłyszaną opowieść.

Charakterystyczną cechą zlizowanych opowieści Piechockiego jest umiejętność łączenia różnych form. Jest tu i monolog liryczny, i narracja, są anegdoty z życia literackiego, cytaty, fragmenty dialogów, didaskalia. Ale mimo silnego wpływu form epickich czy dramatycznych teksty te nie przestają być poezją. To, co w nich najistotniejsze, to zawsze obecne refleksje, do których prowadzi obserwację czy skojarzenia, np. nazwisko wynalazcy wiecznego pióra ewokuje namysł nad mozołem procesu twórczego, który jest jak „skradanie się po słowa” („Stalówka z krzyżykiem i Keith Jarred”). Ten synkretizm literackich form to ciekawa i wyrazista cecha stylu gorzowskiego poety.

Częstym motywem jest też w tej poezji konfrontowanie makro i mikroskali, przykładanie perspektywy kosmosu do intymnych zachwytyłów:

*Twarz księżycy. Stacja orbitalna.
Droga Mleczna. Warkocz Bereniki.*

Lubię, jak włosy upinasz w dobierany
(„Moja astronomia”)

Czas i przestrzeń są w ujęciu Piechockiego wartościami relatywnymi. W jednej strofie równolegle współistnieją: piszący sonet Buonarroti, malujący autoportret brat poety Juliusz i pracująca na oddziale onkologii kobieta podająca chorem nasenne tabletki. Taki ogłód świata, na pewno jako efekt iluminacji, doświadcza w tych chwilach, gdy poeta jest blisko natury, wpatruje się w ogień, słucha strzelających przyszek („Nocne szepcienie lasu”).

Autor „Przedstawień” jest poetą komunikatywnym, ale obraz świata nie jest tu nigdy uproszczony. Ciekawe i symptomatyczne dla niego jest to, że chętnie sygnalizuje, skąd przychodzi impuls twórczy. Trudno policzyć, ile konkretnych osób, miejsc i sytuacji przywołuje w swojej poezji. To twórca, dla którego, wbrew aury mizantropa, którą emanuje, bardzo istotni są spotkani ludzie. Podkreśla swoje związki z nimi. Te wyraźne wskazania źródeł pozwalają lepiej poznać świat osobnego artysty, w którego duchowy pejzaż od zawsze

mocno wpisana była także refleksja etyczna. Dowody tego odnajdujemy nie tylko w chrześcijańskim stosunku poety do świata, ludzi i Boga, ale także w tekstach bezpośrednio dotykających kwestii aksjologicznych, w których ujawnia się ten namysł:

*Standardy. Dziesięć przykazań. Kazanie na górze.
Zapiski Konfucjusza. Siedem najważniejszych
lekcji Buddy. Sury Mahometa.*

*Wędruję grzbietami książek, podróżuję uważnie.
Prowadzę notatki. Z każdej
kilka zdań.*

(„Spojrzenie”)

Duchowa perspektywa przejawia się również wtedy, gdy poeta opisuje doświadczenie cierpienia, nie tylko własnego, ale też ludzi spotkanych w szpitalach, przychodniach, poczekalniach, na ulicach. Bliscy są mu pogubieni, wykluczeni, osobni. Chwile, w których spotyka cierpiących, opisuje, przełamując niejednokrotnie tabu, jak np. w wierszu „Witek Indian”.

Są w tym zbiorze wspomnienia dalszej i bliższej przeszłości, rozliczenia z sobą i swoim czasem. Nie brakuje też odniesień do muzyki, jakby nieustannie towarzyszyła twórcemu namysłowi. W autotematycznym, dotykającym aktu tworzenia, ostatnim wierszu pierwszej części mówi o „pustyni i jej mieszkańcach”, o swoim wyborze oddalenia od świata, o silnej potrzebie alienacji, która wynika ze zranień i rozczarowań:

*Szum morza. Piasek skrzypi pod stopami.
Buduję zamek. To raczej warownia.
Z wieżami, blankami. Z księciem Z. zagram w
szachy.
Nie dociekam już syndromu pustyni. (...)*

(„Piaskownica”)

Drugi rozdział książki otwiera autoportret Matki poety, Stanisławy Piechockiej, sygnalizujący wspomnieniowy charakter zamieszczonych tekstów – zapisów spotkań z nią w ośrodku, który stał się jej domem w ostatnich latach życia. Te wiersze to wyraz bezradnej rozpaczki wobec cierpienia, choroby, nieuniknionego oddalenia, aż po „ostateczną odmowę światła”. Rozdział jest przejmującym, choć powściągliwie wyrażonym, świadectwem odpowiedzialnej miłości i pamięci. Próbą oswojenia pustki, swoistym requiem, trenem uwieczniającym portrety Rodziców autora.

Książka jest, podobnie jak poprzednie tomy Piechockiego, niezwykle wysmakowana pod względem edytorskim. Jej osobisty, autobiograficzny i wspomnieniowy przekaz wzbogacają ilustracje – obok obrazu Stanisławy Piechockiej także portrety autorstwa brata poety, Juliusza Piechockiego oraz fotografia Tomasza Naczka. Zarówno warstwa słowna, jak i wizualna pokazują, że Marek Piechocki, poruszając się w obrębie wypracowanej przez siebie, bardzo odrębnej dykcji, potrafi wciąż odkrywać kolejne inspiracje i wywodzić z nich nowe poetyckie światy i refleksje.

Zygmunt Marek Piechocki, *Przedstawienia*. Ilustracje: Julian Piechocki, Stanisława Piechocka, Tomasz Naczek, Gorzów Wlkp., 2017, s. 34.

Filozofia codziennosci

prof. Marii
Szyszczkowskiej (134)



Seksualność to właściwość ludzkiej natury. Natomiast filozofia seksualności jest wiedzą naukową, której przedmiotem dociekań jest seksualność istot żywych. Różne nurty filozoficzne odmiennie interpretują znaczenie seksualności oraz różnią się w jej ocenie. Znamienne jest, że obyczajowość europejska od dwóch tysięcy lat jest zespólna z zakazami dotyczącymi sfery seksualnej człowieka.

Wracając do filozofii seksualności – wiąże się ona najściślej z zagadnieniem wolności człowieka. Jest to pojęcie szersze od wolnej woli o której jest mowa w religiach chrześcijańskich. Filozofia seksualności wiąże się z zagadnieniem integralnej wolności człowieka, a więc nie tylko wolnej woli, lecz także świadomości pozbawionej uprzedzeń oraz rozumu wolnego od stereotypów i przesądów. Człowiek prawdziwie wolny, krytycznie oceniający obyczajowość większości jednostek w społeczeństwie oraz ich sposób myślenia – czyli pozytywnie nieprzystosowany do tego, co przeciętne – trafnie zazwyczaj podchodzi do własnej seksualności. Wznosi się ponad zakazy, którym starają się politycy i moralisci podporządkować społeczeństwo. Nie poddaje się rygorom. Wymaga taka postawa wysiłku wewnętrznego, a w tym wyzwolenia się od funkcjonującego mocą tradycji poglądu, że seksualność ma być głównie środkiem do przedłużenia gatunku. Obyczaj e utrwalone mocą tradycji i wprowadzają dotkliwie zakazy w sferze seksualnej. Dotyczą one każdego, szczególnie ludzi sędziwych, chorych psychicznie oraz niepełnosprawnych intelektualnie i niepełnosprawnych fizycznie. A wiadomo, że życie seksualne warunkuje szczęście człowieka. Seksualność nie prowadzi do poczucia sensu własnego życia, ale przynosi przeżywanie szczęścia. Zakazy obyczajowe w niektórych państwach bardziej ograniczają wolność jednostek niż prawo. Skutkuje to podwójną moralnością; zgodną z nakazami i tą po cichu urzeczywistnianą. Seksualność człowieka jest także obwarowana przepisami prawnymi. Ponadto regulaminy dotyczące pobytu, na przykład, w domach dla osób niepełnosprawnych oraz w domach dla ludzi sędzi-

wych wprowadzają dodatkowe ograniczenia. Człowiek jest wartością najwyższą. Znakomicie wyraził to Kant określając człowieka jako cel sam w sobie. Pisał, że nawet Bóg nie mógłby traktować człowieka jako środka do celu. A skoro stanowią wartość fundamentalną, to należy się szacunek dla właściwości natury ludzkiej.

Wolność w myśl wielu filozofów jest nierozdzielnie zespolona z człowiekiem. Przychodzimy na świat jako istoty wolne i będziemy tym, czym sami siebie uczynimy. Próby skanalizowania wolności i jej ograniczenia są wygodne dla rządzących polityków. Szaty moralistów wkładają na siebie w państwach demokratycznych parlamentarzysty. Zapominają, że problemy moralne są nierozstrzygalne od czasów starożytności. Nie dokonali tego mędrcy rozmaitych epok. A więc osoby wybierane na cztery lata do parlamentu tym bardziej nie mają stosownych ku temu kompetencji, by ustalać korzystanie z seksualności. Nie powinni także przekładać jednego z poglądów w tej dziedzinie na restrykcyjne przepisy prawne.

Parlamentarzyści są wybierani z reguły przez ludzi mających często zmanipulowaną świadomość przez media. W parlamencie znajdują się ludzie, którzy nie są upoważnieni do tego, by próbować zastąpić mędrców. Mimo rozdzielenia moralności i prawa, czego po raz pierwszy dokonał Kant – wciąż ponawia się próby regulowania życia seksualnego mocą przepisów prawnych.

Okiełznanie sfery seksualnej rygorami prawnymi, to zarazem nieupoważnione wkraczanie w sferę ją – wobec samego siebie. Jak wyjaśnia w swoich dziełach niedawno zmarły filozof angielski Hart, prawo powinno regulować wyłącznie relacje między człowiekiem a człowiekiem.

W państwach demokracji parlamentarnej, jak wiadomo, rządzi większość, a więc na ogół ludzie przeciętni. Rodzi się w nich pokusa, by ograniczać sferę wolności seksualnej obywatelom zgodnie z własnymi mniemaniami i przesądami. Szczególne restrykcje narzucane są u nas różnym mniejszościom, w tym osobom niepełnosprawnym. Jest to tym łatwiejsze, że wśród polityków – jak wyjaśnia Kazimierz Dąbrowski w teorii dezintegracji pozytywnej – dużą grupę stanowią psychopaci, a więc osoby często inteligentne, wykształcone, ale odznaczające się niedorozwojem sfery uczuć i niską wrażliwością, brakiem empatii.

Należy tu podkreślić, że osoby niepełnosprawne – których prawa są ograniczane – osiągają niejednokrotnie pełnię człowieczeństwa nieosiągalną przez osoby pełnosprawne. O wartości człowieka, świadczy przede wszystkim wysoki poziom rozwoju uczuć, duża wrażliwość oraz wyobraźnia. W szczególności narusza człowieczeństwo konformizm a nie niepełnosprawność. Konformizm, czyli rezygnacja z własnych przekonań światopoglądowych często z lęku, na przykład, przed utratą pracy. Konformista wypiera się własnego światopoglądu, by żyć wygodnie. Konformizm bywa drogą świadomie wybraną przez osoby odznaczające się wysoką inteligencją. Znamienne, że nie odmawia się konformistom pełni człowieczeń-

stwa. Natomiast poddaje się w wątpliwość pełnię człowieczeństwa i wprowadza rozmaite restrykcje, w tym dotyczące życia seksualnego, wobec osób niepełnosprawnych czy sędziwych. Paradoxem jest, że jako wzór w społeczeństwie funkcjonują często ci, którzy kogoś dyskryminują.

Dodam, że seksualność dzieci, podobnie jak seksualność osób sędziwych wciąż stanowi tabu, mimo że mija sto lat od ustaleń dokonanych przez Freuda. Błędny jest pogląd, że osoby chore psychicznie czy niepełnosprawne intelektualnie mają mniejsze potrzeby seksualne. W państwach rzeczywicie tolerancyjnych została wprowadzona instytucja asystentów seksualnych, którzy pomagają w uzyskiwaniu szczęścia seksualnego tym osobom, które, na przykład, są stale unieruchomione. Jest to istotna zmiana w obyczajowości.

Mało jest u nas życzliwości dla tych, którzy odstają od większości. A żyjemy wszak w epoce globalizacji, czyli w świecie wielokulturowym, w którym powinien funkcjonować szacunek dla różnorodności. Ponadto nie ma jednego modelu człowieczeństwa. Powinien funkcjonować szacunek dla osób, które nie są w stanie troszczyć się o siebie. Liberalizm ekonomiczny XIX wieku był przepojony głębszym humanizmem niż neoliberalizm. Oddziałują na nas hasła wolności, ale odbieramy ją w sferze seksualnej różnym mniejszościom. Zresztą wszyscy poddani są rygorom w sferze seksualności.

Brak wolności seksualnej bywa dotkliwy. Szczególnej zmianie powinna podlegać mentalność osób tworzących otoczenie osób niepełnosprawnych. Wymaga to stosownej edukacji. Zgodnie wszak z pojmowaniem demokracji w naszych czasach, ma to być ustrój wieloświatopoglądowy, czyli w szczególności sposób ceniący wolność człowieka. A wiec charakteryzujący się funkcjonowaniem różnorodnych poglądów moralnych. Dulszczyzna obyczajowa skłania natomiast do zachowywania pozorów aseksualności i moralności. Krytykowali ją w swoich dziełach przede wszystkim Boy Żeleński oraz Gabriela Zapolska. Ta krytyka nadal jest aktualna.

W sprzeczności z dulszczyzną obyczajową funkcjonuje u nas pornografia i emitowane są filmy przez media, pobudzające wyobraźnię w sferze seksualnej. Zaznacza się paradoks, bowiem ograniczeniom seksualności człowieka towarzyszy jednocześnie jej ukazywanie w mediach, co wzmaga obłudę. Wywoływane jest przez moralistów poczucie winy u tych, którzy odstają od narzucanych ograniczeń. A wszak każdy z nas ma prawo do życia zgodnego z własnymi potrzebami seksualnymi o ile nie krzywdzi drugiego człowieka.

Narzucanie obywatelom jednej koncepcji moralnej, która miałaby regulować także sferę seksualno-erotyczną, to właściwość państwa totalitarnego.

Maria Szyszczkowska

Andrzej Bartyński

Rozmowy na globie - człowieka o sobie



Nasze serca – ciąg dalszy

– Myślę nad tym i myślę pod tym. Myślę przed tym i myślę po tym. Myślę i myślę o słowie złotym. Przedtem i potem o słowie jak totem. Słowo jest dla nas boskim robotem. Kwitnie jak kwiat, tworzy nasz świat, a cuda czyni z ludzkim polotem. Ten polot, ten wylot, ten nalot, ten przelot, ten zalot, ten odlot. A chwile kapią. Kapią, kap, kap. A chwile kropią. Kropią, krop, krop. Ja też teraz kropnę parę rzeczy, jak widać do rzeczy – w *salonie mych myśli* oświadczył swym rubinowym barytonem filozof Pan Nietwór.

– Tak, tak, kropnij, kropnij – zawołała okien-na framuga.
– Tak, tak, kropnij, kropnij! – zachęcająco odezwała się rozległa podłoga.
– Tak, tak, kropnij, kropnij! – wykrzyknął głos zza pieca.

– Ja się z nimi wszystkimi zgadzam. Kropnij, kropnij jak należy dla porządku rzeczy nasz znakomity filozofie – wyraził swój majestatyczny pogląd złocisty kandelabr nad okrągłym stołem w *salonie mych myśli*.

– Moi mili salonowcy. Dziękuję wam za to aktywne wsparcie i powiem tak, jak wy to mówicie. Jak wy to głosicie w teatrze naszego kraju: „Wolne sądy! Wolne wybory! Wolna Polska i wolne metafory”. Niech żyje poezja! Niech żyje festiwal poezji w Polanicy Zdroju „Poeci bez granic”. W dzisiejszej „Gazecie Kulturalnej”, tu przy okrągłym stole w *salonie mych myśli* przypomnę tytuły wystąpień panelowych i ich autorów. Rzec miała miejsce w hotelu Bukowy Parki. Rzec się odbyła 17.11.2017 roku. Uczestniczki i uczestnicy XIV Międzynarodowego Festiwalu Poezji w Polanicy Zdroju „Poeci bez granic”, o poetki, o poeci, jak ten czas szybko leci. A myśmy patrzyli, a myśmy słuchali, jak lecą liście słów z gałązek ludzkich myśli, dla których tutaj

myśmy przyszli.

Oto Dariusz Pawlicki. Jego tekst miał tytuł: *O tym dlaczego niektórzy stają się słyszalni, inni zaś pozostają niemi*.

Oto Agnieszka Tomczyszyn-Harasymowicz. Jej tekst miał tytuł: *O matce Grzegorza Przemyska. Wiersze i listy Barbary Sadowskiej w perspektywie poetyki doświadczeń*.

Oto Franciszek Haber, Lwowiak. Jego tekst miał tytuł: *Morze inspiracją poezji*.

Oto Mariusz Olbromski. Jego tekst miał tytuł: *Dom sztuki i kultury – Muzeum im. Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów w Stawisku*.

A myśmy patrzyli, a myśmy słuchali, jak lecą liście słów do naszych głów, żeby nie było wandalii. No to do rzeczy, a teraz o tych co śpiewali. On i ona, jak para greckich aoidów roznoszących po świecie piękno poezji, poezji śpiewanej do ludzkich serc. Krzysztof Galas, niewidomy poeta, gitarzysta, kompozytor ze swą wspaniałą żoną Aliną, towarzyszką życia, byli z nami na festiwalu i śpiewali światu wiersze Krzysztofa Galasa, Andrzeja Bartyńskiego, Kazimierza Burnata. A myśmy patrzyli, a myśmy słuchali, jak lecą wiersze na skrzydłach pieśni, które śpiewali. Kiedy się skończył festiwal myśmy się rozjechali. A w uszach pamięci ciągle nas nęci poezja swoimi czarami.

– Ach filozofie, Panie Nietworze, ja się przed tobą otworzę – wchodząc do salonu mych myśli powiedziała swoim tanecznym głosem Jaga Wierzbicka-Walter, żona Andrzeja Waltera – niechaj się wiersz otwiera, dziś są Andrzejkki, imieniny Andrzeja, stąd w naszych sercach poezji zawieja. Przyjacielowi naszemu, Andrzejowi Bartyńskiemu:

*Hej Andrzeju! Hej!
Zawsze nam się śmieje!
Czy po soku, czy po piwie
Nich Cię wena trzyma chciwie!*

*Czy po kawie, czy po czaju
Artystycznie bądź „na haju”!
Niech Ci z Krzysią dobrze będzie
tutaj, tam, po prostu wszędzie!*

Jaga i Andrzej Walterowie

A z Wałbrzycha, a z Wałbrzycha słowa życzeń także słyhać. Poetyckie małżeństwo Krzysiek Kobielec i Ela Gargała:

*Wierszem dałeś nam nadzieję
gdy do drzwi pukała nicos*

Odpowiedź:

*Niechaj ludzkość nie truchleje
gdy istnieje damska cycoś*

PS.

Oko na świat

*Zamykasz drzwi
zamykasz okna
zamykasz oczy
otwierasz własną firmę
otwierasz swoje serce
otwierasz piękną książkę
żeby otworzyć
przedtem trzeba zamknąć
ażby zamknąć*

*przedtem trzeba otworzyć
żeby był dzień
musi być noc
by była noc
musi być dzień
a dzień jak co dzień
a noc jak co noc
zamykasz oczy
i braknie wiersza
by oczy otworzyć
jest tylko jedna rada
wiecznie swój wiersz układać*

Janusz Orlikowski

Czego nie można albo to nie ich dom

1.

nie można ust zamknąć myślom
one są wolne nie ty który myślisz
i do wolności tylko dążysz

zakotwiczone w tobie niczym statek na
mieliźnie
czeka – na przyptyw dobrego dnia

panoszą się raz po raz wtykając nos
w nie swoje sprawy jakby tu był ich dom

na ten czas on jest a być nie może

tych okien i drzwi przecież nie da się pozamykać
były otwarte od zawsze na każde
dobre skinienie dnia

i niech tak zostanie nawet gdy ust
nie można zamknąć myślom

2.

chyba że coś otworzy nowe okna i drzwi
droga do wolności stanie się prostsza
i powiększy się twój stan posiadania

ta iskra którą stworzysz zabija myśli
nie ma dla nich litości
tak czasowa w nie czasie
i tak podła że mija

a ty byś mógł inaczej
zobaczyć nienaganną ciszę
dobry obraz twojej wolności

i to się stanie
gdy dobry duch odczyta twoje wiersze

POEZJA

Andrzej Adamowicz, *Dzień poezji śmierci dzień*. Przełożył: Bohdan Zadura. Projekt okładki: Ewelina Kruszczyńska. Seria *Wschodni Express*. Warsztaty Kultury, Lublin 2017, s. 88.

Almanach bielski 2017. Projekt okładki, grafika: Kordian Michalski. Stowarzyszenie Poetów Ziemi Bielskiej, Bielsk Podlaski 2017, s. 100.

Kacper Bartczak, *Pokarm suweren*. Projekt okładki: Magdalena Kocińska. Projekt typograficzny: Artur Burszta. Seria *Poezje*, tom 156. Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2017, s. 60.

Maria Bigoszewska, *Wołam cię po imieniu*. Zdjęcie autorki: Paweł Kwiek. Obraz na okładce: Nina Zielińska-Krudysz. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *forma 21*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezyna, Szczecin, Bezręcze 2017, s. 50.

Kazimierz Brakoniecki, *Obrazy polskie*. Projekt okładki i stron tytułowych: Jakub Rakusa-Suszczewski, Anna Matysiak. Seria *Tangere*. Convivo, Warszawa 2017, s. 110, w rym ilustracji.

Martyna Buliżańska, *wizyjna*. Okładka i projekt typograficzny: Artur Burszta. Zdjęcie: Martyna Buliżańska. Seria *Poezje*, tom 157. Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2017, s. 36.

Grażyna Drobek-Bukowska, *Satyryki spod szpili i figlarne wierszyki*. Redakcja: Ewa Dudek, Mariola Kempka-Dominik. Korekta: Magdalena Reczulska. Okładka: Joanna Małoszczyk. Ilustracje: Leszek Fry-Witkowski, Zbigniew Kresowaty, Joanna Małoszczyk, Leszek Michalski. Wydawca: Drukarnia Cyfrowa V8, Racibórz 2017, s. 108.

Marta Fox, *Lacrimosa*. Redaktor tomu: Patrycja Purgał. Opracowanie, projekt graficzny i projekt okładki: AN.ART.IA Project. Na okładce wykorzystano fragment rękopisu Mozarta pt. *Lacrimosa*. Wydawnictwo Eperons-Ostrogi, Kraków 2017, s. 62.

Anna Goławska, *Środek komunikacji*. Zdjęcie na I stronie okładki: Anna Goławska. Zdjęcie autorki na I v stronie okładki: Grzegorz Lindenberg. *Biblioteka Poezji/ Biblioteka „Toposu”*, tom 138. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu” Sopot 2017, s. 56.

Istvan Kemény, *Programy w labiryncie*. Przełożył: Miłosz Waligórski. Zdjęcie autora: Szilard Nagyilles. Grafika na okładce i w książce: Piotr Pasiewicz. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *szesnaście i pół*. Wydawnictwo FORMA, Szczecin, Bezręcze 2017, s. 60.

Adrian Koniluk, *Prozak*. Opracowanie graficzne: Kordian Michalski. Stowarzyszenie Poetów Ziemi Bielskiej, Bielsk Podlaski 2017, s. 48.

Michał Kozłowski, *Nie myśl o mnie źle*. Zdjęcie na i stronie okładki: Tomasz Budzyński, *Domy*. Zdjęcie autora na IV stronie okładki:

Iza Grzebieniak. *Biblioteka Poezji/ Biblioteka „Toposu”*, tom 139. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2017, s. 40.

Hezi Leskli, *Taniec na torach*. Wybór, przekład, opracowanie i posłowie: Beata Tarnowska. Projekt okładki: Piotr Misiorowski. Fotografia autora na skrzydle okładki z archiwum Mai Gordon. Oficyna SIGNI (dawniej „Z bliska”), Warszawa 2017, s. 156.

Jose Angel Leyva, *Wiersze*. Przełożyła: Krystyna Rodowska. Projekt graficzny: Sylwia Tulik. Fotografia autora na okładce: Pascual Borzelli. Instytut Książki i Marketingu, Rzeszów 2017, s. 44.

Daniel Madej, *Mała epoka*. Projekt okładki: Radosław Szczygieł. Wydawnictwo eFKA Fundacja na Rzecz Kultury Akademickiej, Poznań 2017, s. 30.

Anna Matysiak, *Żrebię Heraklita*. Ilustracje: Bogna Gniazdowska. Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2017, s. 48.

Wiesław Prastowski, *Zmysły śpiewały. Wiersze i eseje*. Seria Pod redakcją: Edwarda Białka. Projekt okładki: Justyna Białek. Wydawnictwo Quaestio, Wrocław 2017, s. 28.

Wiesław Prastowski, *Optimus et Maximus*. Opracowanie graficzne i zdjęcia: Robert Błaszak. Nakład autorski, Wrocław 2017, s. 118.

Jan Szczurek, *W poszukiwaniu panaceum*. Redakcja: Piotr Goszczycki. Wstęp: Jerzy Stasiewicz. Projekt okładki: Justyna Bartoń-Depa. Korekta: Arkadiusz Kiński. Wydawnictwo Komograf, Warszawa 2017, s. 104.

Ryszard Wasilewski, *Płatki i kolce*. Opracowanie redakcyjne: Ryszard Wasilewski. Projekt okładki i rysunki: Sławomir Łuczyński. Wydawnictwo Astra, Łódź 2017, s. 100.

Radosław Wiśniewski, *Dzienniki Zenona Kałuży*. Projekt okładki i opracowanie graficzne: Biana Rolando. Projekt typograficzny: Magda Ebert. Dom Literatury w Łodzi, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Łódź 2017, s. 70.

Jerzy Beniamin Zimny, *Księga wyjść*. Redakcja i korekta: Anna Olsztyn-Patyk. Opracowanie graficzne i projekt okładki: Joanna Pakuła. Wizerunek autora na podstawie fotografii Bożeny Zimny ze zbiorów autora. Wydawnictwo Miejskie Poznania, Poznań 2017, s. 60.

Cezary Żechowski, *Wojna z kukulką*. Ilustracje: Jarek Puczel. Projekt okładki i stron tytułowych: Jakub Rakusa-Suszczewski, Anna Matysiak. Seria *Tangere*. Wydawnictwo CONVIVO Anna Matysiak, Warszawa 2017, s. 136.

PROZA

Ian McEwan, *W skorupce orzecha*. Przełożył: Andrzej Szulc. Projekt okładki: Katarzyna Meszka. Ilustracja na okładce: Markus Spiske/Stock Snap. Wydawnictwo Albatros, Warszawa 2017, s. 240.

Andrzej Muszyński, *Fajrant*. Projekt okładki i stron tytułowych: Rafał Kucharczuk. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2017, s. 320.

Cezary Nowakowski, **Jakub Nowakowski**, *Błogosławieni*. Zdjęcie autorów: Joanna Kunstman, Jakub Nowakowski. Zdjęcie na okładce: Jakub Nowakowski. Zdjęcie w książce: Rafał Babczyński. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *kwadrat*. Wydawnictwo FORMA, Szczecin, Bezręcze 2017, s. 80.

Powroty. Radom – Bartos, Jeromin-Gałuszka, Kruszyński, Litwinek, Pestka, Podsiadły-Natorska, Równy, Szczerek, Wlazło, Żmudzin. Projekt okładki: Mariusz Dański. Miejska Biblioteka Publiczna im. Józefa A. i Andrzeja S. Żałuskich, Radom 2017, s. 236.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Natalia Budzyńska, *Brat Albert Biografia*. Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz. Fotografie na okładce: z archiwum siostr albertynek w Krakowie. Opieka redakcyjna i wybór zdjęć: Adam Gutkowski. Adiustacja: Katarzyna Węglarczyk. Korekta: Klaudia Dróżdż, Katarzyna Onderka. Wydawnictwo ZNAK, Kraków 2017, s. 416.

Remigiusz Grzela, *Podwójne życie reporterki. Fallaci. Torańska*. Redaktor prowadzący: Michał Nalewski. Redakcja: Kinga Szafruga. Korekta: Grażyna Nawrocka. Konsultacja historyczna: prof. Andrzej Friszke. Projekt okładki: Mariusz Kula. Zdjęcia na okładce: AGE Fotostock / Mondadori Portfolio / East News; Włodzimierz Wasyluk / East News. Zdjęcia na wkładce: Agencja Gazeta; Agencja BE&W; East News; Agencja PAP; prywatne archiwum rodziny Fallaci; prywatne archiwum Remigiusza Grzeli, archiwum fundacji imienia Teresy Torańskiej. Wydawca: Prószyński Media Sp. z o.o., Warszawa 2017, s. 488.

Szczesny Wroński, *Piszę poemat*. Opracował: Marcin Kania. Adiustacja i korekta: Magdalena Świerżowska. Projekt okładki: Marcin Kania. Zdjęcia autora na IV stronie okładki: Małgorzata Jaźwa i Andrzej M. Makuch. Wydawnictwo i Drukarnia TERCJA, Kraków 2017, s. 112.

DLA DZIECI

Alicja Tanew, *Noc w mrowisku czyli leśna przygoda Honoraty. Bajka z piosenkami w wersji teatralnej*. Projekt okładki, ilustracje i układ graficzny: Alicja Tanew. Wydawca: Fundacja Sceny ATA, Wydanie II uzupełnione, Kraków 2017, s. 40.

Alicja Tanew, *Zaczarowany fortepian. Krakowska bajka z piosenkami*. Projekt okładki i rysunki ulic: Dorota Kazimiera. Ilustracje bajkowe: Anna Żebracka-Prus. Wydawca: Fundacja Sceny ATA, Kraków 2017, s. 36.

Święto literatury lubuskiej

W piątkowe popołudnie (24 XI 2017 roku), w dostojnych murach Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, wręczono po raz kolejny Nagrodę Literacką im. Andrzeja K. Waśkiewicza – przyznawaną przez oddział Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze.

Oddział ZLP już 56 lat trwa „na posterunku” i tworzy – w sposób zapewne niezauważalny dla większości mieszkańców regionu i Zielonej Góry – historię miasta i województwa. Pisarze, poeci, krytycy piszą i wydają książki, które tutaj zostaną na zawsze, bo składają się na lokalną rzeczywistość, a zarazem ją opisują. Mimo niewielkiego dziś szacunku dla słowa pisanego, gdzieś w bibliotekach, archiwach te prace na pewno przetrwają.

Pierwsza część uroczystości poświęcona była pamięci Janusza Koniusza, zmarłego w marcu br. poety, który swoje życie na dobre i złe związał z Zieloną Górą. Sejmik województwa lubuskiego podjął uchwałę, którą uhonorował pisarza przyznając mu honorowy medal „Za zasługi dla województwa lubuskiego”. Wiceprzewodniczący Sejmiku **Tomasz Wontor** wręczył go żonie pisarza – **Izbelli Koniusz** oraz córce **Donacie Wolskiej**. Jednocześnie **Eugeniusz Kurzawa**, prezes oddziału ZLP, przekazał na ręce obu pań przywieziony prosto z drukarni zbiór poezji Janusza Koniusza pt. „Wiersze ostatnie” wydany pod jego redakcją. Promocja książki ma się jednak odbyć dopiero w przyszłym roku, 1 lutego, w 84. rocznicę urodzin J. Koniusza. Wręczenie odznaczenia rodzinie poety wypełniona gośćmi sala witrażowa przyjęta oklaskami na stojąco. Był to bardzo piękny i wzruszający moment.

Druga część imprezy poświęcona była wręczeniu Nagrody Literackiej im. Andrzeja K. Waśkiewicza, związanej ongiś z Zieloną Górą poety, krytyka, edytora, animatora życia literackiego. **Alfred Siatecki**, sekretarz Kapituły przyznającej Nagrodę, odczytał protokół. Nominacje do Nagrody otrzymali: **Władysław Klepka** (poeta), **Zofia Mąkosa** (prozaiczka), **Mirosława Szott** (poetka, krytyczka). Ostatecznie Kapituła zdecydowała, że tegoroczną laureatką zostanie – związana z Uniwersytetem Zielonogórskim, a pochodząca ze Zbąszynka – M. Szott. Artystka otrzymała szklaną statuetkę z zatopionym autografem Waśkiewicza i dyplom, ponadto Nagroda miała również wymiar finansowy, co dla młodej doktorantki UZ na pewno nie jest bez znaczenia. Fundatorem był Euroregion

Sprewa-Nysa-Bóbr.

Nagrodę Waśkiewicza wręczali: jego żona **Anna Sobecka**, która przybyła z Gdańska oraz wiceprzewodniczący Sejmiku T. Wontor.



Fot. Archiwum Eugeniusza Kurzawy

Anna Sobecka, żona Andrzeja K. Waśkiewicza, wręcza nagrody laureatom

Następnego dnia (25 XI) w Wilkanowie, w Ogrodzie sztuk, odbyły się V Andrzejki Waśkiewiczowskie. To prywatna impreza odbywająca się od śmierci A.K. Waśkiewicza (w 2012 roku) w posesji **Lidii i Eugeniusza Kurzawów**. W niezobowiązującej atmosferze – wśród przyjaciół i sympatyków twórczości poety – wygłaszane są referaty naukowe, wspominki o poecie, anegdota. – To nasz wkład w rozwój życia literackiego w regionie – uznał E. Kurzawa.

Podczas tegorocznego spotkania w Ogrodzie sztuk mówiono zatem zaskakująco o Waśkiewiczu w... kuchni, była też wystawa fotogramów białostockiej poetki **Krystyny Koneckiej** pt. „Gdańska przystań Poety”, opowiadająca za pomocą zdjęć o pracowni Andrzeja Waśkiewicza, jak też gawęda A. Sobeckiej o tejsze pracowni, wspominki przyjaciół i toasty za pamięć o Andrzeju. Specjalny referat o przepisach kulinarnych Waśkiewicza wygłosiła Mirosława Szott, doktorantka Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Eugeniusz Kurzawa



Fot. Andrzej Dębkowski

Andrzej K. Waśkiewicz w Żelazowej Woli (2010)

Noty Opinie Poglądy

W tygodniku „PlusMinus”, numer 51/2017, Antoni Libera o Samuelu Beckecie w rozmowie z Mariuszem Cieślakiem:

(...) Według mnie, Beckett nie ocenia, nie moralizuje. On tylko bezkompromisowo przedstawi. To, co pan powiedział, to są już nasze wnioski – nasza interpretacja jego obrazu. Zasadniczą tezą Becketta jest, że człowiek to taka istota, która – niezależnie od ewolucji biologicznej – sama „się wymyśla”; coraz to na inny sposób się definiuje, ponieważ nie wie źródłowo, kim jest. Otóż przez; setki, a raczej tysiące lat „wymyślała się” ona jako takie lub inne dziecko boże, czyli zakładała, że jest stworzeniem zależnym od jakichś nieśmiertelnych, ale rozumnych potęg i że zależność ta ma sens. Ta autointerpretacja czy autodefinicja, konfrontowana przez wieki z rzeczywistością, czyli historią, ulegała rozmaitym modyfikacjom. Aż wreszcie straciła moc i stała się martwa. Na podobnej zasadzie, na jakiej Krapp – bohater „Ostatniej taśmy” – nie identyfikuje się z sobą z przeszłości. Przyjmuje pierwsze zdanie z jego końcowego nagrania: „Wysłuchałem właśnie tego żalostnego kretyna, którego 30 lat temu uważałem za siebie”. Proszę zwrócić uwagę, że on nie mówi: „którym byłem 30 lat temu”, lecz „którego 30 lat temu uważałem za siebie”. To fundamentalna różnica.

Tak właśnie dzieje się też z człowiekiem historycznym, czyli zmieniającym się przez wieki rodzajem ludzkim. Obecnie – od jakiegoś czasu – „wymyśla” on siebie inaczej niż dawniej: właśnie jako wymyślonego samego siebie, a niejako wymyślonego przez jakąś istotę nadrzędną i prowadzonego przez nią za rękę. I to powoduje, że łąduje on pod drzewem jako bezdomny albo sparaliżowany ślepiec na wózku inwalidzkim. Krótko mówiąc, jako ktoś upośledzony, zagubiony, osamotniony w nieszczęściu.

Beckett mówi: ceną odrzucenia autointerpretacji metafizycznej jest samotność i beznadzieja; utrata ontologicznej podstawy człowieczeństwa. Ale nie jest to niczyja wina. Po prostu taka jest natura rzeczy. (...)



Gazeta Kulturalna
Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543; e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębkowski**.

Współpraca: Józef Baran, Andrzej Bartyński, Emil Biela, Tadeusz Czerniawski, Małgorzata Dębkowska, Anna Dominiak, prof. Igancy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębkowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.